Miesięcznie 1 zł
Prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok VI — Niedziela, dnia 27 lutego 1938 r. — Nr. 9

LIST

Piszesz mi, że po latach,
spędzonych w dalekim mieście,
pragniesz powrócić do mnie...
czytam w nawiasach (nareszcie!).

Wykrzyknik nad słowem ostatnim
i nad wyznaniem zawiłym...
piszesz mi — mam uwierzyć,
że jest — jak dawniej było...

Że się spotkamy na miejscu
przez ciebie oznaczonym —
gdy księżyc blaskiem srebrzystym
w konturach drzew zapłonie...

Że mam nie myśleć o niczym
że mam zapomnieć o wszystkim...
że jesteś mi jak dawniej
kochaną i sercu bliską.

Że mam więc oczekiwać
na to, co spełni się dniem —
Wybacz...
ja ciebie rozumiem,
lecz dobrze wiem — —

Posyłam ci list na odpowiedź
i myśli wyznań przeróżnych...
Wybacz — że pisząc: kocham...
stawiam wykrzyknik !
Za późno!

Józef Baranowski.



IRENA MACIEJEWSKA

Automat

(PRZEKŁAD Z FRANCUSKIEGO)

— Sabino!

Słowo to trzykrotnie rozległo się w całym domu, zanim doszło do mych uszu.

Moja cioteczna babka umieściła mnie od chwili przyjazdu do niej, na drugim piętrze wielkiego i starego domu prowincjonalnego, który zamieszkiwała od przeszło pół wieku.

Apartament mój, to duży, zimny pokój, mający zaszczyt gościć mnie codzień od zmierzchu do świtu, a czasem, gdy deszcz padał, od rana do wieczora, położony był w głębi szerokiego korytarza, wyłożonego czerwonymi kaflami i oświetlonego szerokim, nieszczelnym oknem, które zdawało się być tam umieszczone po to, by wiatr mógł swobodnie hulać po starym domu.

Ostry i przenikliwy głos babki rozbrzmiewał głośno w klatce schodowej, stłumiony jednak poszumem wiatru dochodził do mych drzwi jak niewyraźny szmer zaledwie.

— Sabino!

Dopiero po trzecim wezwaniu, gdy babka włożyła wszystkie swoje siły w zdesperowane wołanie tego imienia, usłyszałam coś niecoś. Jednym susem znalazłam się na korytarzu.

— Wołałaś mnie, babciu!

— Ona się jeszcze pyta, słodki Jezu!

— Ależ nic nie słychać w moim pokoju...

— Najgorsi są ci głusi, którzy nie chcą słyszeć.

— Babciu, zapewniam cię, że... zaczęłam.

Przerwano mi jednak:

— Dość tego, proszę zejść, potem będziesz kłamać.

Ten sposób przemawiania babki nie miał w sobie nic niezwykłego. Od pierwszej chwili, gdy znalazłam się pod jej dachem, postępowała ze mną podobnie. Szacunek, należny podeszłemu wiekowi, zmuszał mnie do znoszenia w milczeniu jej despotyzmu i tyranii. Pomimo wszystkiego nie mogłam oswoić się z posądzaniem mnie o kłamstwo przy każdym słowie, nigdy bowiem nie czyniłam nic takiego, coby mogło usprawiedliwić podobną opinię. Słysząc te bezpodstawne zarzuty, miałam zawsze uczucie otrzymanego policzka i bunt wewnętrzny podrażnionej dumy, wywoływał w owych oczach łzy bezsilnej wściekłości. W takich chwilach pragnęłam, aby babka była tak młoda i silna jak ja, by mieć prawo sprowokowania jej i oddania w naturze tego moralnego policzka, którymi mi tak niesprawiedliwie wymierzała.

Lecz moje bunty wewnętrzne na nic się nie zdały. Pomimo wszystkich powodów do narzekania na babkę, nie mogłam zapomnieć o winnym jej szacunku i musiałam w milczeniu połykać słowa złości, cisnące mi się na usta. Babka bowiem miała 82 lata, białe jej włosy spadały w długich lokach po obu stronach głowy, głos stawał się drżący, gdy nie krzyczała, ręce trzęsły się pod ciężarem przeżytych lat.



Piękne futro artystki filmowej Carole Lombard świetnie harmonizuje z puszystą sierścią towarzyszącego jej wiernie wspaniałego psa-owczarka.

Ona zaś tryumfowała: jej małe szare oczki szpiegowały mnie i zdawały się radować widokiem boleśnie drgającej twarzy, gdy całą siłą woli powstrzymywałam wzburzenie.

Bez pośpiechu więc zeszłam po kamiennych schodach, o wysokich, zniszczonych stopniach; babka oczekiwała mnie na dole.

Wbrew postanowieniu zachowania niewzruszonego spokoju wobec złośliwości starej kobiety, miałam twarz zasępioną, a oczy gniewne, gotowe do walki z jej wzrokiem. Babka nic sobie jednak nie robiła z mego niezadowolenia.

— Chodźże prędzej, marudo! Musisz natychmiast wyjść, by załatwić coś ważnego.

Skrzywiłam się, gdyż ta perspektywa nie miała w sobie nic pociągającego. Deszcz lał jak z cebra, a dom nasz był położony poza winnicami, na skraju lasu, o przeszło 3 kilometry od innych zabudowań mieszkalnych.

— Jakże mogę iść, babciu, natychmiast, kiedy deszcz tak leje, że trudno psa wypędzić.

— Nie chodzi o psa, który musi biegać nago, ale o ciebie — a ty możesz się ciepło ubrać. Przypuszczam, że nie jesteś z cukru.

— Oczywiście! Możeby jednak Klaudyna mogła iść zamiast mnie?

— Moja poczciwa Klaudyna! Nie masz serca, Sabino, chcąc, by ta biedna stara służąca wychodziła w taką pogodę.

— W takim razie Juliusz?

— Powiedziałam ci, że chodzi o ważną sprawę, której nie mogę powierzyć temu służącemu. Juliusz jest dzielnym człowiekiem, lecz niebo odmówiło mu sprytu i nie ma on pojęcia o porządnym załatwianiu interesów. Chodź ze mną, to ci wszystko wytłumaczę.

Weszłam za babką do małego pokoju, będącego jej gabinetem i buduarem zarazem. Babka przebywała w nim najchętniej, nie lubiła bowiem, a nawet bała się, wielkiego salonu o wspaniałych meblach, który całymi tygodniami pozostawał zamknięty z opuszczonymi roletami.

W tym małym pokoju babka miała pod ręką wszystko, czego potrzebowała: tu był jej kot, okulary, mitynki, książki rachunkowe, robota na drutach, której nigdy nie mogła skończyć; czarny woreczek, gdzie trzymała pieniądze na codzienne wydatki, kalendarz z ostatniego roku, jednym słowem wszystkie drobiazgi, w których zamykał się horyzont jej obecnej egzystencji.

Po wejściu skierowała się odrazu do antycznego fotela z poduszkami, na którym kotka Maun spała, zwinięta w kłębek. Babka zmiotła ją jednym ruchem ręki.

— Idź do swego kosza, Maun. Zawsze muszę cię znaleźć na moim miejscu. Starzejesz się, moje biedactwo, wolałabym więc nie niepokoić cię za każdym razem, gdy chcę tu usiąść.

Zajęła miejsce w fotelu w pobliżu stołu i wyciągnęła ze swego czarnego woreczka czterysta osiemdziesiąt pięć franków, które położyła przede mną mówiąc:

— Zaniesiesz natychmiast tę sumę do Roches Noires. Tamtejsi ludzie potrzebują chyba na gwałt pieniędzy. Czy uwierzysz, iż termin minął zaledwie przedwczoraj, a już dziś listonosz przyniósł mi nakaz płatniczy.

Wywijała przy tym jakimś zadrukowanym papierem.

— Pierwszy raz w życiu widzę podobną bezczelność. Mamy dziś pierwszego kwietnia zaledwie, trzy dni dopiero upłynęły od 27 marca, a już przysyła mi się nakaz płatniczy. Dobrze, że nie weksel jeszcze!

— Zapewne potrzebują pieniędzy, upominają się tylko o swoje.

— O Boże, jak ty źle rozumujesz, Sabino. Czy nie wyczuwasz jaki brak subtelności cechuje tę nagłą potrzebę pieniędzy? Od 40 lat dzierżawię ten folwarczek i nigdy mi się nie zdarzyło zapomnieć o czynszu dzierżawnym, czyż więc należy tak postępować ze mną? Napisałam list, w którym wyrażam me oburzenie. Oddasz im go, Sabino, i jeśli trzeba będzie, nie zapomnij powiedzieć, że jestem bardzo niezadowolona. Czuję się dotknięta i obrażona podobnym postępowaniem. Czy rozumiesz dobrze poco cię posyłam?

O tak, rozumiem dobrze, pomyślałam sobie, babka chce przede wszystkim poniżyć sąsiadów, posyłając mnie do nich z pieniędzmi w taki deszcz; pragnie w ten sposób podkreślić niestosowność gwałtownego upominania się o nie i zaakcentować gorliwość w regulowaniu swych zobowiązań, by nie narazić przypadkiem sąsiadów na dalsze czekanie, choćby nawet przez dwadzieścia cztery godziny.

— Tak, oni muszą bardzo potrzebować tych pieniędzy, ciągnęła dalej babka, a poza tym cóż to za nowy pomysł, by przysyłać mi zawiadomienie, iż mam odtąd wpłacać u notariusza w Collonges. Pocóż miałabym iść do tego pisarczyka, którego nie widziałam od 20 lat? Czyż nie wpłacałam punktualnie tego niewielkiego czynszu?

— Może mają oni swoje powody, których nie znasz, babciu.

— Cicho bądź. Nie mów o tym, o czym nie masz pojęcia. Ach, gdyby te kilka stóp ich winnic nie wcinało się w moją posiadłość, jakże chętnie oddałabym im ten grunt.

Przecież dochód z niego pokrywa zaledwie czynsz dzierżawny.

— Dlaczego nie kupiłaś, babciu, tej ziemi? Byłabyś wolna od wszelkich zobowiązań.

— Ależ proponowałam im kupno tysiąc razy! Nie chcieli! Dalibóg, oni mają czysty zysk z tego czynszu dzierżawnego. Trzeba żebyś im to wszystko przypomniała, moja droga, pamiętaj! A przede wszystkim bądź wyniosła i dumna: my nie mamy w zwyczaju posyłać upomnień naszym dzierżawcom w trzy dni po upływie terminu — daj im to odczuć. A więc Sabino, weź te pieniądze, schowaj je dobrze i idź już.

— Ładny spacer!

— Dnie są już dłuższe, będziesz szła jednak niezbyt dobrą drogą, więc spiesz się, by powrócić przed nocą.

— Oh, nie będę marudziła w drodze, jest za piękna pogoda na to.

— No, no, od deszczu nikt się jeszcze nie roztopił, a ty pod swoim kapturem nie poczujesz ani kropli.

Pewne pytanie, ważniejsze od wiadomości, czy nie zmoknę w czasie tej wyprawy, zaprzątało mój umysł. Spytałam więc:

— Każesz mi iść, babciu, do Roches Noires, a ja nie mam nawet pojęcia, gdzie to się znajduje. Kto wskaże mi drogę?

— Czy oprócz przewodnika nie będzie ci potrzebny osiołek, by wdrapać się na górę?

— Nie proszę ani o przewodnika, ani o osła, odparłam. Zanim jednak wyjdę w taki czas, chciałabym wiedzieć w którą stronę mam się udać. Wspomniałaś o górze — trzeba więc iść lasem pod górę?

— Oczywiście, że lasem. Roches Noires jest położone nad wąwozem. Z dołu widać ciemny, ziemisty kolor skał — stąd nazwa dana domostwu. Po wyjściu z domu udasz się ścieżką prowadzącą do folwarku Bersac, lecz po dojściu do skrzyżowania dróg skręcisz na lewo, nie zaś na prawo. Nie możesz zresztą pomylić się, gdyż drzewa wzdłuż drogi są znaczone czerwoną kreską. Kierując się tym znakiem, będziesz szła zawsze właściwą ścieżką.

— Tak, już wiem. A jaka jest odległość do Roches Noires?

— Godzina drogi mniej więcej. Przy końcu góra wznosi się bardziej stromo i ścieżka staje się wąska, gdyż nikt po niej nie chodzi, poza tym to prosta droga i nie możesz zbłądzić. Dalej, Balbino, nie marudź.

— Ale tam na górze, dopytywałam się, czy jest tylko jeden dom, czy nie można się omylić?

— Ten dom stoi samotnie, zresztą jest to pałac, moja droga. Przynajmniej chłopi mówią „pałac". Pomyśl tylko, jest on ozdobiony dwoma brzydkimi, wąskimi wieżami i tarasem, po którym wiatr hula bezustannie. Czyż trzeba więcej, aby wieśniacy uznali go za „pałac". Nie mówiąc już o tym, że ci z pałacu jeżdżą autem — prawdziwi panowie! — Mój zaś dom nie ma żadnych ozdób, jest kwadratowy, ma tylko jeden brukowany dziedziniec, a w dodatku, ponieważ ja wolę konia od cuchnącego samochodu, moje domostwo jest tylko „dworem": dwór w Presec. Mimo to jednak, iż jest „suchą łąką"* ma piękne i bogate winnice, nie ustępujące jakością win, winnicom folwarku „Napoleon" a nawet „Chambertin", i, jak tu mieszkam już od 80 lat, nikt nie może powiedzieć, iż panna Agata de Presec była kiedykolwiek zmuszona do posyłania nakazów płatniczych swym dzierżawcom w trzy dni po upływie terminu, tak jak to robią tamci z „pałacu".

*) gra słów polegająca na znaczeniu słowa „Presec" = pré sec.



Pierwszy posiłek po nużącym biegu narciarskim.

Uciekłam, nie chcąc słuchać od początku oskarżenia przeciw nieszczęsnym mieszkańcom Roches Noires.

Podeszłam do drzwi, by spojrzeć smętnym okiem na niebo. Padał drobny i gęsty deszcz, żadna jaśniejsza smuga nie zapowiadała wypogodzenia.

Trzeba więc było znieść swój ciężki los. Stłumiwszy westchnienie na wspomnienie o ciekawej książce, którą zostawiłam otwartą w pokoju, zaczęłam szykować się do wyjścia. Włożenie wysokich sznurowanych butów, sportowego kostiumu, którego krótka spódniczka nie krępowała ruchów, ceratowego kapelusza oraz zarzucenie na plecy luźnej peleryny z żółtej gabardyny, na wzór tych, jakie armia amerykańska nauczyła nas nosić w czasie wojny, było dziełem kilku minut.

Po czym, obarczona cenną sumą, powierzoną mi przez babkę i zaopatrzona w niemniej cenny list, który raczyła napisać do swych sąsiadów, ruszyłam w drogę.

Przeszłam już furtkę i dochodziłam do zagajnika, gdy doleciały mnie jeszcze słowa:

— Powiedz im, że jestem oburzona na takie postępowanie. I nie zabłądź, czerwone kreski, wciąż prosto.

* * *

Szłam szybko, z rozmachem dwudziestoletniej młodości, mimo iż nogi ślizgały mi się wciąż na mokrym mchu.

Ten forsowny spacer w deszcz nie był w rzeczywistości przykrym, miał nawet pewien urok w mych oczach: udawałam się w nieznanym kierunku, do nieznajomych ludzi, w okolicę nigdy nie odwiedzaną.

Stawiałam energiczne kroki, schylając głowę pod parasolem, by zabezpieczyć się lepiej od wielkich, zimnych kropel spadających z drzew.

Ile czasu zajęło mi wejście na górę? Zdawało mi się, iż szłam nie więcej, niż 20 minut, gdy raptem ścieżka zmieniła się w strome schody, które przyjęłam za cel mej wędrówki. Wbrew oczekiwaniom jednak, schody, przecinane niezliczonymi korytarzami wśród skał, pięły się bez końca w stronę szczytu, do którego zmierzałam. W pewnej chwili stopnie, ginąc z powierzchni, opuszczały się pod ziemię, w szeroki otwór o kształcie lejka pośród kamieni.

Schody stały się wygodniejsze, ręką mogła wesprzeć się na okalającej je żelaznej barierze, a gdy podnosiłam głowę, widziałam u wylotu tunelu mały skrawek szarego nieba. Wdrapywałam się lekko ku temu promykowi światła, pewna, iż dochodzę już do celu.

Stanęłam wkrótce na szerokim cementowanym tarasie, przy którym kończyły się schody. Z miejsca tego rozpościerał się rozległy widok. Wzrok obejmował cały widnokrąg aż do krańców horyzontu, przechodząc ponad wierzchołkami wysokich drzew lasu, wędrując ponad parowy, wąwozy i doliny.

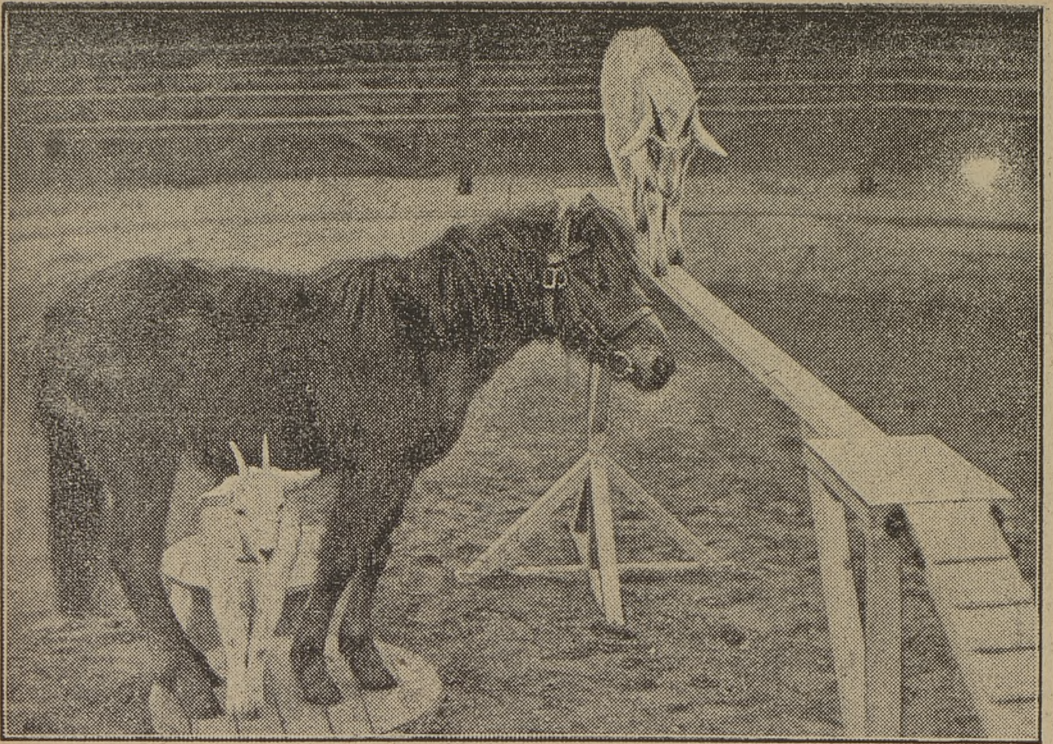
Mimo, iż wiatr hulał na tym wysoko położonym tarasie, zatrzymałam się w zachwycie na widok pięknego i imponującego krajobrazu, roztaczającego się przed mymi oczami.

Jakże tu musi być przyjemnie w piękną pogodę!

Na lewo wznosił się dom. Poza nim nic nie zatrzymywało wzroku; można było przypuszczać, iż jest się na krańcu świata, w absolutnej samotności, zdala od ludzi i przyziemnych trosk, w najwspanialszym odosobnieniu.

Chciałabym tu mieszkać! przemknęło mi przez głowę, lecz w tej samej chwili przypomniałam sobie misję, którą powierzyła mi babka. Uśmiechnęłam się!

Zaledwie tu przyszłam, a już, zapominając o cierpkiej krytyce babki, uległam urokowi zachwycającej miejscowości, zamieszkałej przez... wroga.



Pewien posiedziciel ziemski w hrabstwie Surrey (Anglia) stworzył sobie domorosły cyrk zwierzęcy z kucyka i paru kóz, które z podziwu godną zręcznością wykonują szereg ćwiczeń równoważnych.

Ale gdzież jest ten zapowiedziany pretensjonalny pałac? Nie ma tu żadnych wieżyczek, ani innych ozdób.

Długi, biały, dwupiętrowy dom, posiadał jedynie obszerny taras na dachu, co mogło nasuwać przypuszczenie, iż widok roztaczający się przede mną, nie wystarczał oczom właścicieli.

O! móc marzyć tam na górze w bezpośrednim zetknięciu z naturą... mieć wrażenie zbliżenia się do nieba... z dala od całego świata...

Ten cały świat, z dala od którego pragnęłam żyć, uosabiała w mej wyobraźni, wiecznie gderająca babka...

* *
*

Silny podmuch wiatru z deszczem zmusił mnie do skierowania kroków ku domostwu.

Gdy podeszłam, drzwi się otworzyły. Na progu ukazała się młoda kobieta.

Była wysoka i zgrabna. Ciemna suknia obciskała jej postać o wysokich, śmiałych piersiach.

— Ach, jakiż wstrętny czas! Niech pani prędzej się schroni!

Miała głos dźwięczny, choć nieco stłumiony. Ruch, który towarzyszył słowom był taki życzliwy, tak przychylny, iż nie mogłam zdobyć się na zachowanie oziębłości, nakazywanej mi przez babkę.

Zaledwie znalazłam się w wielkim hallu, zdała od rozpętanego żywiołu, zaczęłam przepraszać za mój zabłocony i przemoknięty strój.

Młoda kobieta przyglądała mi się badawczo, zachęcając do zdjęcia płaszcza i kapelusza, a widząc moje wahanie dodała stanowczo:

— Proszę, niech pani uwolni się od tego wszystkiego, i ogrzeje się przy ogniu. Moja stara Annika zajmie się rzeczami pani i wysuszy je. Przede wszystkim musi się pani rozgrzać i wyschnąć — to najważniejsze .O wszystkim innym pomówimy później.

Było to powiedziane tak prosto, iż usłuchałam, zadowolona, że nie będę więcej czuła na sobie tej mrożącej wilgoci.

Gdy znalazłam się wreszcie w olbrzymiej kuchni, przy kominie, na którym płonął dobroczynny ogień, młoda pani domu zapytała:

— Jakim to trafem weszła pani w taką pogodę aż na Belle Vue?

— Belle Vue, mówi pani. Ależ ja miałam iść do Roches Noires!

— Jest pani od nich daleko!

— Mój Boże! A ja myślałam, że już doszłam do celu!

— To nie jest nawet w tej okolicy. Musi pani zejść znowu w dolinę i wejść na górę, wznoszącą się z przeciwnej strony.

Twarz moja wyrażała takie zakłopotanie, iż nieznajoma czuła się w obowiązku pocieszyć mnie.

— Ależ, niech pani się nie martwi. Deszcz może wkrótce ustanie. Do Roches Noires jest stąd przeszło godzina drogi; w ładną pogodę to przyjemny spacer. Nie rozumiem jednak, dlaczego pani odrazu nie udała się we właściwym kierunku. Czy pani nie pochodzi z tych stron?

— Jestem cioteczną wnuczką panny Presec. Idę właśnie z dworu w Presec... Mieszkam jednak krótki czas u mej babki i nie znam dobrze tych okolic...

— Jak to, pani jest krewną panny de Presec? Oh, proszę mi wybaczyć, że przyjęłam panią w kuchni. Nie przypuszczałam jednak nigdy, aby w taką okropną pogodę, któraś z naszych sąsiadek mogła być poza domem!

I oto bierze mnie pod rękę, prowadzi żywo do innego pokoju, rzuciwszy przedtem rozkaz służącej:

— Anniko, prędko gorącej herbaty i ciasteczek!

Daję się prowadzić, zawstydzona okazywaną mi uprzejmością. I ponieważ czuję, iż jest zmartwiona swym niestosownym przyjęciem mnie, staram się być bardzo wesołą, bardzo grzeczną i opowiadam ze śmiechem o moim wyruszeniu w deszcz z Presec i o wszystkich napomnieniach babki, bym nie zmyliła drogi.

Wchodzę za nią do dużego, jasnego salonu.

W fotelu koło okna, wychodzącego na dolinę, siedzi mężczyzna, którego widzę niezbyt dokładnie. Spostrzegam jedynie z boku dość duży, prosty nos i spiczastą bródkę, zasłaniającą rysunek ust i brody.

— To mój brat, objaśnia moja towarzyszka. Nieszczęśliwy, został ranny w walkach o Maroko. Lekarze zdołali utrzymać go przy życiu, lecz jest to już tylko szczątek człowieka.

Smutek przytłumić jej głos.

Odwracam się ku niej i widzę na jej twarzy grymas cierpienia.

— To jest największe zmartwienie mego życia, dodaje. Ubóstwiałam brata i cierpię nieludzko, widząc go bezwładnym i pozbawionym zmysłów.

— Pozbawionym zmysłów?

— Tak, to ogólny paraliż. Życie jego jest obecnie smutną wegetacją. Posiada władzę tylko w nogach... Może chodzić, ale wolnymi, automatycznymi krokami... to rozpaczliwy widok...

Ociera nerwowo łzy, płynące po policzkach.

— Niech pani wybaczy mi, rzekła, iż okazuję moje cierpienie, jest to jednak żywa rana w mym sercu, która wciąż otwiera się na nowo, gdy przedstawiam komuś mego brata.

Podeszłyśmy do chorego, bo jakże inaczej nazwać tą postać słabą, wychudzoną, siedzącą nieruchomo w fotelu?

Przy świetle, padającym z okna, widzę go lepiej. I mimo, iż zostałam uprzedzona przez siostrę o jego kalectwie, nie mogę się powstrzymać od mimowolnego cofnięcia się wstecz.

Czy to jest naprawdę człowiek? Twarz wyschnięta, zakrzepła w martwocie, o cerze woskowej, przypominającej twarze manekinów w oknach wystawowych wielkich magazynów.

Oczy nieruchome, a w wyrazie ich coś z obłędu i halucynacji. Wychudłe ciało, niknące się w zbyt obszernym ubraniu.

Upiorna postać, stworzona jakby przez wyobraźnię Edgara Poe, widok jej wywołuje odrażające i przerażające wrażenie!

Staram się opanować lęk, którym mnie napawa, czuję jednak iż wszystkie moje członki drżą, mimo że nakazuję sobie spokój. Gdyby ten człowiek zrobił jakiś ruch w moją stronę, jestem przekonana, iż strach mój wzmógłby się do tego stopnia, że nie zdołałabym powstrzymać okrzyku przerażenia.

Moja towarzyszka zaś pochyla się troskliwie nad tą odstraszającą istotą, przyciąga jej głowę do swych świeżych ust i tkliwie całuje w czoło.

Oh! jakąż piękną daje mi ona lekcję braterskiej miłości. Nie jest to jednak lekcja, to odruch naturalny, płynący poprostu z jej kochającego serca.

Opowiada mi łagodnie, jakgdyby w ekstazie.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

WOJCIECH HOLM

70)

Nienawiść a miłość

czyli tajemnica zamku Felseg

Po chwili myślała już o czym innym, zwłaszcza, że postać służącej zmieszała się z tłumem.

— Dawniej pieniądze — mówiła tymczasem Schnorrowa do Idy — a niech cię Pan Bóg broni, żebyś mnie oszukała. Jeżeli tu będzie brakowało centa choćby, to pamiętaj, że włos nie spadnie z głowy twej przyjaciółki.

— Nie bój się! — odrzekła Ilona, wręczając jej pakiecik — wszystko jest w porządku. — Teraz ty pilnuj, co do ciebie należy. Jak się nie sprawisz dobrze, będziesz miała ze mną do czynienia. Godzina, w której cię odnajdę, będzie twoją ostatnią!

— Już ja swoje zrobię — zapewniała łotrzyca — nie minie rok, a Sylwia Herbert zginie gdzieś w szpitalu...

Za chwilę Ilony nie było na okręcie.

— — — — — — — — —

Sylwia stała na pokładzie i smutnymi oczyma patrząc ku ojczyźnie, myślała o tym, czy też wróci, kiedy i z jakimi uczuciami wracać będzie do ojczyzny. Mimo całego smutku, który stanowił ton zasadniczy jej nastroju, ufała w sprawiedliwość Boską i z pewną otuchą spoglądała w przyszłość.

Opodal stali dwaj młodzieńcy i przypatrywali się jej z zajęciem.

— Ładna niewiasta! — mówił jeden do drugiego — nie wie pan, panie Rosen, co to za jedna?

— O, o takie ładne niewiasty dowiaduję się najdokładniej — odpowiedział drugi i wymienił imię, nazwisko i stan Sylwii.

Był to baron Geldern.

Jeden z nich, był to paniczyk, którego rodzice wysyłali w podróż, aby go oderwać od złego towarzystwa, w które się dostał, drugi rzucił w Europie złotą posadę i jechał do Ameryki do wuja, który był żonaty, ale bezdzietny i życzył sobie siostrzeńca mieć przy sobie.

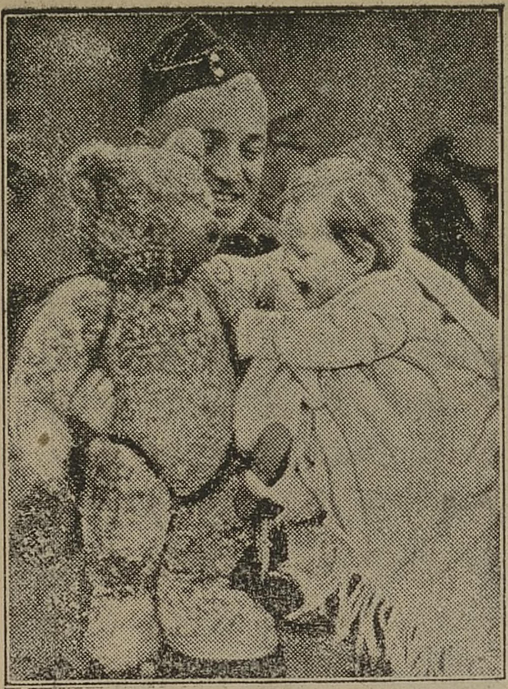
Obaj oni, jak i inni mężczyźni jadący tym okrętem, już przy kolacji na wyścigi, usiłowali bawić Sylwię i wyświadczać jej grzeczności, co ogromnie gniewało inne pasażerki.

To też panie te odetchnęły z ulgą, gdy Sylwia zaraz po kolacji wstała i pożegnawszy się skinieniem głowy, poszła do swej kajuty.

Pani Schnorr, od której pasażerowie już zdążyli się dowiedzieć, że nie jest krewną Sylwii, wnet po ulokowaniu się na okręcie znalazła znowu drogę do swej opiekunki.

— Proszę ja pani — rzekła, wszedłszy do jej kajuty — powiadam ja kucharzowi, żeby mi zrobił befsztyk, a on mi na to, że jakby chciał, powiada, każdemu robić befsztyki, toby musiał stać przy kuchni, od rana do nocy i żebym poczekała do obiadu.

Sylwia podała jej ze swoich pakunków tort, który dostała w Petershagen, a pani Schnorr zabrała się do niego tak uczciwie, że zjadła cztery duże kawały.



Dwa uśmiechy szczęścia; jeden na twarzy żołnierza angielskiego, który wrócił z kolonii na łono rodziny, a drugi na twarzy jego dziecka, cieszącego się pięknym misiem, otrzymanym w podarunku.

Sylwia przy stole, wobec nadskakujących jej panów, zachowała się uprzejmie, ale z rezerwą, bo zajęta była swoimi myślami, które jej nie opuściły, gdy wróciła do kajuty.

Zmęczona ułożyła się do snu i usnęła snem twardym, z którego obudził ją nad ranem wystrzał armatni.

Był to znak, że „Mewa" rusza w drogę.

ROZDZIAŁ CCLXVIII.

Werner nie przebywał już wprawdzie w tym straszliwym podziemiu, w którym siedział tak długi czas, ale i nowe więzienie nie było o wiele lepsze. Więzień jednak z rozkoszą wpatrywał się w mały kawałek nieba, widoczny z pod desek, którymi prawie całe okno nowego jego więzienia było zabite.

Nogi i prawa ręka jego, przykute były do łóżka, lewa zaś ręka była wolna.

Alojzy zaniepokojony był zniknięciem Ilony, którego sobie nie umiał wytłumaczyć. To też był w niebardzo dobrym humorze i Wernerowi dawał to odczuwać. Dostarczał mu jednak na czas żywności, aż do chwili, kiedy mu zabrakło zapasów.

Z resztek, które miał w spiżarni, zostawił dla Wernera podwójną porcję i postawił mu ją przed łóżkiem, sam zaś wybrał się do miasta, po nowe zapasy żywności.

Więzień widząc przed sobą podwójną porcję, domyślił się, że widocznie stróż jego wybrał się gdzieś na dłuższy czas.

Z nadludzkimi wysiłkami próbował uwolnić się z więzów i pot kroplisty występował mu na czoło, kiedy silił się, żeby rozerwać ogniwo łańcucha.

Ale próżne były jego wysiłki.

Żelazne kajdany nie rozluźniły się ani o milimetr.

Zajęty próbą uwolnienia się, nie zauważył, że drzwi skrzypnęły i otworzyły się, a u wejścia stanęła Ilona.

— A, to ty? — zawołał wreszcie, zobaczywszy ją — skąd się tu wzięłaś?

— Pan się pyta — odpowiedziała Cyganka — a nic mi pan od siebie nie ma do powiedzenia? — zapytała.

— Nic — odpowiedział hrabia, domyślając się o co jej idzie.

— I nie tęskni pan za wolnością? — pytała dalej Cyganka. — Alojzego nie ma. Widziałam z daleka, jak z workiem szedł ku miastu. Nie wróci, aż za kilka godzin. Czasu mamy dość do ucieczki. Przyrzeknij mi, mówiła dyszącym z namiętności głosem — że pojmiesz mnie za żonę, a będziesz wolny.

— Za taką cenę, powtarzam ci — odparł Werner — nie chcę wolności. Raczej zginę zanim się sprzeniewierzę narzeczonej. Natomiast mogę ci święcie przyrzec, że wszystkie moje dobra, cały mój majątek oddam ci w nagrodę, jeśli mnie uwolnisz.

— Co!? — krzyknęła Cyganka — ja panu przynoszę moją miłość, moje ciało dziewicze, a pan mnie odtrąca i daje mi marny pieniądz!? Pieniędzmi chcesz zaspokoić pragnienie mego serca? Ty musisz być moim! Moim na wieki! Zmuszę cię do tego!

— Ilono! — odpowiedział spokojnie hrabia Werner — czy mogłabyś żyć spokojnie przy boku męża, który raz już narzeczonej przysiągł wierność?

Czy nie obawiałabyś się, że i ciebie zdradzałby na każdym kroku? Czy nie obrzydłoby ci życie przy nim? Przecie wiesz o tym, że ja kocham Sylwię, że jej przysięgałem miłość i wierność do śmierci. Czy możesz żądać ode mnie, abym popełnił krzywoprzysięstwo?

— Sylwię? — wrzasnęła Ilona z wściekłością — a więc wiedz o tym, że twojej Sylwii grozi najhaniebniejsze niebezpieczeństwo, jakie nad dziewczyną może zawisnąć!

— Milcz! — krzyknął Werner zrywając się z łóżka, precz potworo przebrzydła! Kłamiesz! I tym ohydnym kłamstwem myślisz, że mnie przyciągniesz do siebie? Precz, ty jędzo cygańska! Nienawidzę cię i pogardzam tobą!

Ilona wyciągnęła z zanadrza błyszczący sztylet i rzuciła się z nim na Wernera.

W ostatniej chwili jednak cofnęła się i jak szalona wybiegła do drugiej izby.

— Będziesz przeklinał tę godzinę, w której mnie odepchnąłeś od siebie, groziła mu w duchu — jęczeć będziesz, żebym wróciła!

. . . .

Alojzy zdziwił się i ucieszył, zobaczywszy po powrocie z miasta Ilonę.

Ale radość jego była jeszcze większa, kiedy Ilona zobaczywszy go, rzuciła mu się na szyję.

— Nie gniewasz się na mnie? — pytała czule.

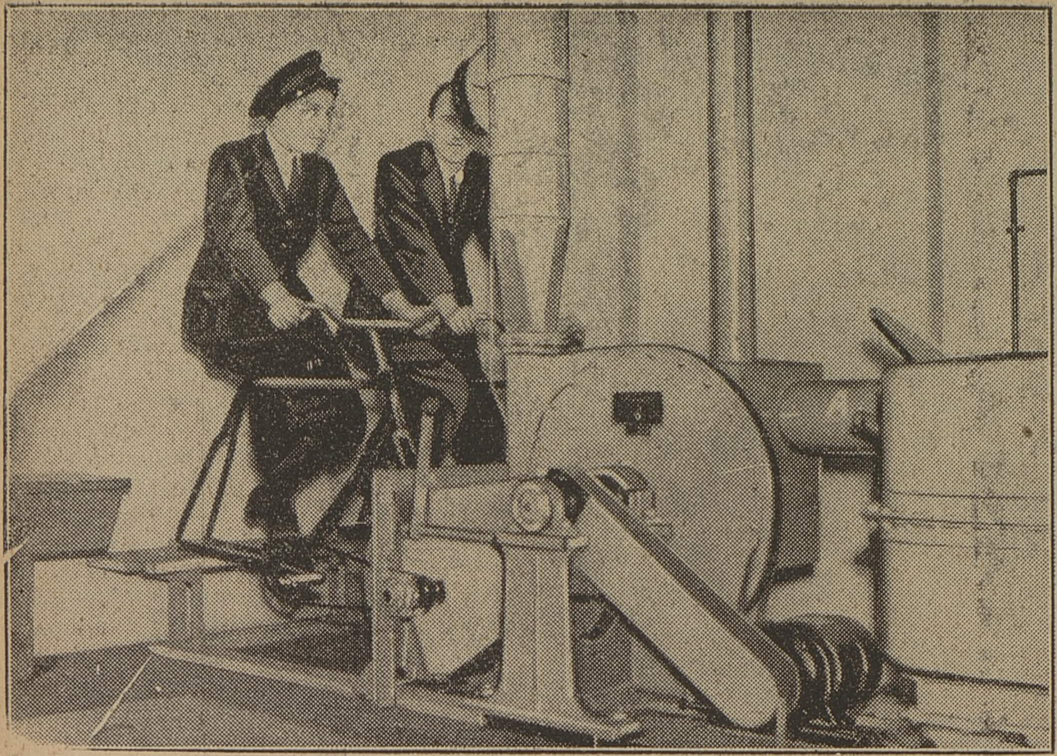
— Ja? — zdziwił się Alojzy — kiedy cię mam taką, jak jesteś teraz, życie oddałbym za ciebie! Za co się mam gniewać!

— A bo myślałam — bo tak się rozstaliśmy w gniewie.

— Ja się nie gniewałem, tylko ty! Ale kiedy jesteś taka dla mnie poczciwa i kochająca, jak teraz, to ja w ogień za tobą pójdę!

— I ja za tobą! i ja za tobą! — zapewniała Ilona.

Alojzy nigdy jeszcze nie czuł się taki szczęśliwy.



W jednym z banków londyńskich zbudowano schron przeciwgazowy, do którego dostarcza powietrza wentylator o zapędzie nożnym, jak widać na zdjęciu.

Kręcił się po izbie, żeby przygotować posiłek, gdy wtem Ilona odezwała się:

— I powiedz sam, co ten dureń sobie myśli! Chciał mnie namówić, żebym mu pomogła uciec i obiecywał mi, że się ze mną ożeni!

— Kto? — zawołał Alojzy czerwony od gniewu.

— No kto, jak nie hrabia Werner! — odpowiedziała Ilona — klękał przede mną, mówił, że się we mnie kocha, obiecywał złote góry!

— Łotr! — wrzasnął Alojzy — ja mu pokażę. Będzie on miał ode mnie! A to szelma!

— Widzę, że jesteś mężczyzną — pochlebiała mu Cyganka — takiego ciebie lubię! Nienawidziłabym cię, gdybyś był łagodny jak baranek, a teraz szanuję ciebie i kocham!

Następstwem tej intrygi Ilony było to, że Alojzy postanowił Wernera wepchnąć na powrót, do podziemnej ciemnicy.

— Łotrze jeden! — krzyknął mu, wchodząc do jego więzienia — ty masz serce odmawiać dziewczynę takiemu biedakowi, jak ja, który nikogo nie ma na całym świecie!

— Alojzy! — zdziwił się Werner — chyba jesteś pijany! A jeżeli nie, to Cyganka ta pewnie ci coś nakłamała na mnie! Przestrzegam cię przed tą diablicą, bo ona i ciebie oszuka i zgubi!

Alojzy podżegany przez Ilonę, wpadł w większą jeszcze pasję, chwycił gruby kij i uderzył Wernera tak silnie, że ten stracił przytomność.

Omdlenie jego ułatwiło Alojzemu i Ilonie wykonanie zamiaru.

Omdlałego rozkuli z łańcuchów i wynieśli na dół do podziemia zamkowego.

ROZDZIAŁ CCVXVIII.

Kto sieje wiatr, zbiera burzę

Ból, który odczuwał czarny Petöfy, kiedy mu Hortensja dała stanowczą odmowę, przyprawił młodego księcia o niezdrowie. Nikt by nie sądził, że to tak silnie oddziała na tego młodzieńca w pełni sił.

Książę przez kilka nocy z rzędu nie mógł zasnąć, przez kilka dni czuł nieprzezwyciężony wstręt do jadła i napitku.

Chodził tylko po pokoju i nudził się, albo leżał na szezlongu i gorączkowe sny na jawie trawiły go jak ogień.

Nareszcie uświadomił sobie co było właściwą przyczyną jego cierpień. Nie Hortensja — ona nie mogła inaczej postąpić. — Nie uczucie jego, takie gorące i takie i takie silne. Ono bowiem było zupełnie naturalne, przy bliższym zetknięciu się z takim aniołem, jak Hortensja.

Ale skąd to jego zbliżenie się do niej?

Nie byłby przecie nawet zbliżał się do niej, gdyby był powiedział, że nie jest wolna.

Któż mu skłamał, że mąż jej nie żyje?

Książę z natężeniem wycieńczonego gorączką umysłu, szukał w pamięci nazwiska tego człowieka, który kłamstwem tym, stał się przyczyną tak srogiego zawodu, który mu złamał młode życie i goryczą napełnił młode serce.

Znalazł je nareszcie.

Był to asesor Feldern.

Przeciwko niemu zwróciły się teraz wszystkie chore myśli biednego księcia i szukały na nim odwetu.

Książę zadzwonił na służącego i kazał sobie podać wino.

Ale ognisty Burgund wydał mu się obrzydliwą polewką i nie mógł przełknąć ani kropli.

Przy pomocy służącego ubrał się i kazał zaprzęgać.

Służący stroskany i zdziwiony patrzył na swego pana, który blady był jak kreda, oczy miał podkreślone ciemnymi obwódkami, i pałające jakąś gorączką.

Obawiał się jednak sprzeciwiać i pomyślał sobie tylko, że jeśli nie będzie lepiej, to trzeba będzie zawiadomić księżnę panią.

Książę pojechał do klubu.

Po drodze zapadł z osłabienia w gorączkową drzemkę, w której widział się w sporze z Feldernem.

Kiedy wóz stanął przed klubem i lokaj otworzył drzwiczki, zobaczył pana swego leżącego na poduszkach, jakby w letargu.

Nie mając odwagi budzić, chrząknął głośno.

Książę ocknął się i z uginającymi się kolanami, wszedł na schody wiodące do klubu.

Gdy stanął na progu, znajomi powitali go z radością, ale zdziwili się jego wyglądem.

— Nic mu nie jest — pocieszał hrabia Brisen — to kociokwik! Musiał się bardzo lampartować tej nocy i teraz ma katzenjammer.

— A ja ci powiadam, że z nim jest źle! — sprzeciwiał się baron Sellentin — przemówiłem do niego, a on odpowiedział całkiem od rzeczy.

Rzeczywiście książę zwracał na siebie uwagę, niepokojącym swym stanem.

Na pytania i nagabywania nie odpowiadał wcale, albo odpowiadał coś zupełnie innego.

Bredził, jak w gorączce.

Siedział na fotelu przy ścianie naprzeciw drzwi i wpatrywał się w nie, jak gdyby kogoś oczekiwał.

Za każdym razem, gdy się drzwi otwierały, budził się z odrętwienia i wpatrywał się we wchodzącego, aby potem z wyrazem zawodu znowu opuścić głowę.

Wtem drzwi znowu się otworzyły i do klubu wszedł asesor Feldern.

Zobaczywszy księcia, zbladł, zapanował jednak nad sobą i chciał go minąć z chłodnym ukłonem.

Książę jednak na jego widok podskoczył jakby zelektryzowany i wstał z miną, jakby coś chciał powiedzieć.

Ale słowa nie mogły się wydobyć, ze ściśniętej gardzieli.

Wzrok tylko miał tak rozkazujący, że Feldern mimowoli musiał się zatrzymać przed nim, jak zahipnotyzowany.

— Panie Feldern! — wyrzekł wreszcie książę z widocznym wysiłkiem — wobec tych zebranych tu czcigodnych panów chciałem panu powiedzieć, że jesteś nikczemnym i podłym kłamcą.

Feldern zbladł, a po zgromadzonych powiał jakiś niemiły chłód.

Przez chwilę trwało przykre milczenie, gdy wtem książę, który chwiał się na nogach, runął jak długi na ziemię.

W tej chwili Feldern odzyskał trochę zimnej krwi i chcąc się oczyścić wobec klubu, rzekł, podnosząc z ziemi zemdlonego:

— On jest chory! Nieprzytomny był już, jak mówił do mnie! Nie mogę tego poczytać za obrazę.

Zaraz kilku jeszcze obecnych rzuciło się do cucenia księcia, drudzy posłali po lekarza.

Temu udało się obudzić chorego z odrętwienia, nie zdołał mu jednak wrócić przytomności.

Książę miał gorączkę i bredził ciągle o kłamcy, który siedzi w więzieniu, za to, że go oszukał, że go mają powiesić itd.

Nazwiska jednak nie wymieniał.

Lekarz sam zawiózł go do domu, gdzie zarządził zimną kąpiel i okłady i zapisał lekarstwa.

Przyrzekł też przygotować księżnę matkę, do wieści o chorobie syna.

— — — — — — —

Feldern opuścił lokal klubu zły, jak diabeł.

Widocznie zbyt skwapliwie pragnął zrzucić z siebie obelgę księcia, zbyt niesmacznie pospieszył z obwieszczeniem, że książę jest chory i niepoczytalny, bo znajomi klubowi zaczęli patrzeć na niego z jakąś chłodną rezerwą, z widoczną jakąś nieufnością.

Asesor taki był tym wzburzony, że księciu Piotrowi w głębi duszy życzył, żeby już nie wyszedł z tej choroby.

Sam chciał się po wypadkach dnia pocieszyć u Hortensji.

Skierował więc swe kroki do jej mieszkania.

— Pani nie przyjmuje — rzekł mu Luigi trochę zakłopotany.

— Czy chora? — zapytał asesor niemile dotknięty.

— Nie, pani zdrowa, ale nie przyjmuje.

— Idźno, spytaj się pani! — rzekł asesor, siląc się na swobodę. — Mnie pani z pewnością przyjmie.

Luigi poszedł, wrócił jednak po chwili z tą samą odpowiedzią:

— Pani nie przyjmuje. Ale powiedziała, że wyśle listy do wielmożnego pana.

Był to nowy policzek dla asesora.

Feldern nie pamiętał już o tym, że go służący może usłyszeć i zaklął po kawalersku, schodząc po schodach.

W domu z niecierpliwością wyczekiwał tego listu od Hortensji, który przyszedł w jaką godzinę później.

Hortensja pisała:

> Szanowny Panie!
>
> Sumienie powie panu, skąd to przyszło, że nie mogę pana już nazywać swoim przyjacielem, ani przyjmować go u siebie. Sprawy moje, które pan, jako mój opiekun, ma jeszcze w ręku, mogą być załatwione listownie. Jeżeli to panu jest nie wygodne, to adwokat mój dr. Noth na Grabenie I. 9, gotów jest objąć prowadzenie ich i załatwienie.
>
> Z szacunkiem
>
> Hortensja Waldau.

Asesor stanął, jak gdyby piorun w niego uderzył.

A więc i ona złapała go na tym haniebnym kłamstwie!

Był zgubiony!

W klubie i u Hortensji, patrzono na niego, jak na oszusta!

ROZDZIAŁ CCLXX.

Greta zaopatruje się na starość

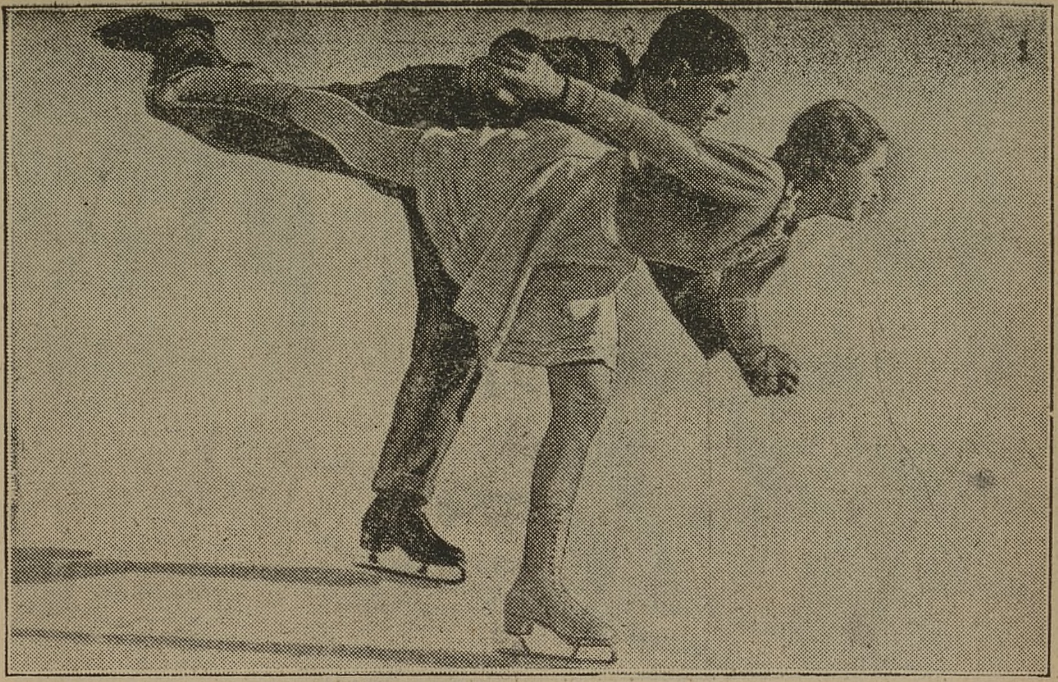
Greta była wielką wygodnicką.

Na próby i z prób jeździła najczęściej dorożkami, a rano w łóżku piła czekoladę i jadała ciastka.

Nadto lubiła żyć w dostatkach, a nawet w zbytku.

Posada w balecie nie pozwalała jej na to. Jeżeli mimo to zostawała w teatrze, to dlatego by upozorować swe dochody i móc się wykazać uczciwym zajęciem, dającym zarobek.

Rano, ubrawszy się, siadała zaraz do drugiego śniadania, bardzo sutego, co jej bynajmniej nie odbierało apetytu na obiad. To też przy obiedzie zjadała naprzód to, co zgotowała Grammlowa, a potem dopiero posyłała dla siebie do restauracji po drugi obiad, nierównie wytworniejszy.



Słynna wiedeńska para łyżwiarzy — rodzeństwo Pansin, w czasie jazdy treningowej.

Podobnie bywało z kolacją.

Skutkiem takiego trybu życia było, że Greta pewnego poranku ubierając się, zauważyła, że suknia jej jest bardzo już ciasna, a bransoletka ledwie się zapina na ramieniu.

Zaniepokojona zapytała służącej, czy uważa, że zgrubiała.

Pokojówka odpowiedziała zupełnie obojętnie, że chciała właśnie się spytać, czy pani nie każe rozpuścić sukien, bo wszystkie już są za ciasne.

Gretka zwróciła się jeszcze do Grammlowej

— Słuchaj! — rzekła — czy ja naprawdę jestem gruba?

Gramlowa pijana jak zwykle, nie domyślając się o co Grecie chodzi, odpowiedziała, chcąc się jej podchlebić:

— O, hrabia Sellentin, ten wymoczek, nie ma takich ramion jak twoje!

— A niech cię diabli wezmą, ty stara pijaczko! — zaklęła Greta, wcale nie zadowolona z odpowiedzi.

Ale widocznie był to już dla niej nieszczęśliwy dzień.

Popołudniu bowiem, na próbie baletu, baletmistrz, patrząc na jej ruchy — zawołał nagle:

— Ależ panno Greto! Pani tyje z każdym dniem! Niech pani coś robi! Marienbadzką wodę powinna pani pić, bo ruchy pani zaczynają być niezgrabne, a przed chwilą słyszałem najwyraźniej, że pani sapała, przy wykonywaniu figury.

Greta zarumieniła się ze wstydu i złości, a koleżanki z zawistnej radości.

Tego dnia Greta piechotą wracała do domu.

Rozmyślała nad tym, co teraz począć.

Każda inna na jej miejscu byłaby się poddała uciążliwej kuracji i ścisłej diecie, aby zeszczupleć.

Greta jednak nie potrafiłaby zrezygnować z tego wygodnego życia, jakie prowadziła.

Cóż jej więc pozostało?

Skłonność jej do życia była tak widoczna, że pozostawiła wątpliwości co do dłuższego pobytu jej w balecie.

Musiała więc pomyśleć o tym, w jaki by to sposób zaopatrzyć się na starość.

Postanowiła naciągnąć Egona i bogatych swoich znajomych, aby zebrać sumkę, któraby razem z tym co już miała, stanowiła jakie takie zapewnienie, że nie zginie z głodu.

Zamiar ten wykonywać zaczęła jeszcze tego samego dnia.

— — — — — —

Egon przybywszy w ten dzień do Grety, zastał ją we łzach.

— Ach, tego nie znoszę! — wycedził przez zęby — cóż ci się stało, że znowu beczysz?

Greta miała gotową odpowiedź.

Opowiadała, szlochając, że ma brata, który jest w Linzu kupcem i ma solidną, uczciwą firmę. Że jednak teraz musiałby ogłosić konkurs i zbankrutować, gdyby nie miał na trzeci dzień zapłacić 2000 reńskich, że zwrócił się o pomoc do niej, a ona biedna nie ma ani centa.

Egon dał się naciągnąć na tysiąc reńskich, które wyjął z portfelu i rzucił jej niedbałym ruchem.

Ona ściskała go i dziękowała mu tysiąc razy ze łzami w oczach.

— Ach, nie nudź mnie już tym bratem — odpowiedział przez nos Egon — ot wypijmy lepiej razem ze dwie flaszki szampana. Nie masz w domu?

— Ach, niestety! — kłamała Greta, która miała w piwnicy pełno najlepszych win. — Czy mam posłać?

Egon zrozumiał przymówkę i sięgnąwszy do kieszeni, podał jej kilka banknotów.

Greta wyszła z nimi do kuchni i tam kazała służącej przynieść z własnej piwnicy dwie flaszki wina. Nakazała jej jednak, żeby skłamała, że przynosi je z winiarni.

— Dostaniesz za to większy napiwek — zachęcała ją — a przyjdź z tym winem tak za pół godziny.

Sama poszła do swojej sypialni, gdzie schowała do żelaznej kasetki ową tysiączkę i tych kilka banknotów, które Egon dał na szampan.

Potem wróciła do pokoju, w którym leżał wygodnie rozciągnięty na kanapie Egon.

Greta wiedziała, że dziś już od niego nie wyciągnie ani centa, ale była dlań równie słodka i kochająca jak przedtem, żeby go sobie nie zrazić.

Nie taiła jednak radości, gdy nadszedł z wizytą hrabia Sellentin.



W ciężkich warunkach atmosferycznych rozpoczęły się w Niemczech zawody narciarskie w Szwarcwaldzie.

Greta i na niego zagięła parol.

Kiedy chwilę porozmawiali razem, wstała nagle i rzekła niewinnie.

— Ciekawam bardzo, co panowie powiecie na nowy obraz, który sobie kupiłam. Wisi w jadalni. Może przejdziemy na chwilę?

— O! to chyba sami pójdziecie! — zawołał Egon, wyciągając się leniwie na szezlongu — mnie się ani śni ruszać z tej sofy.

— No, to chodźmy sami! — zaproponowała Greta obojętnie i wyprowadziła Sellentina do jadalni.

Hrabia zdziwił się niemało, widząc, że zamyka za sobą drzwi do drugiego pokoju. Nie pozostawiła mu jednak czasu do namysłu, tylko opierając się o jego piersi, zaczęła rzewnie płakać.

Kiedy przestraszony hrabia spytał co się stało, powtórzyła mu słowo w słowo bajkę o bracie, który jest kupcem w Linzu i ma bankrutować.

Dodała jednak jeszcze, że prosiła Egona, ale ten skąpiec nie dał jej ani centa.

Dobrotliwy Sellentin wzruszył się jej łzami tak dalece, że wysypał jej na stół całą zzawartość swego pugilaresu, wynoszącą 650 reńskich.

Greta zgarnęła je prędko i podziękowawszy mu rzewnie, wróciła z nim do salonu.

Tego wieczora Greta liczyła w swej sypialni, ile wynosi razem jej majątek.

Miała przytem na twarzy wyraz tak drapieżnej chciwości, że Egon i Sellentin byliby się przerazili, gdyby zobaczyli ją taką.

ROZDZIAŁ CCLXXI.

Walka w sercu

Jim i Bill zakupili w New Limmerick każdy, najmniejszy szmat nieuprawnej ziemi i to za drobne stosunkowo pieniądze.

Pewnego dnia jak zwykle pilnie kopali, pracując w pocie czoła, ale znowu zapadł wieczór, a nafta się nie pokazywała.

Bill się wyprostował i oparł o łopatę.

— Zmęczonyś? — spytał go Leon.

— Nie — odparł — ot, tak sobie stoję. Wiesz co? — dodał po chwili. — Ten Franek strasznie mi zajechał w serce. Szkoda że to chłopiec. Gdyby tak był dziewczyną, zaraz bym się z nim ożenił.

— Powiedz mu to — śmiał się Leon — może ma siostrę, to niech ci ją da za żonę.

— Głupie gadanie! — żachnął się Bill — przecie wiemy bardzo dobrze, że on siostry nie ma. Ale za to, jak tryśnie nam nafta i zrobimy majątek, zajmę się tym chłopcem i jego przyszłością. Weźmę go z sobą do wielkiego miasta, każę go kształcić i zrobię z niego człowieka.

— No, ale tymczasem nafty tej jeszcze nie widać! — śmiał się Leon — więc pracujmy.

Sam jednak musiał kopać dalej, bo Bill zadumany stał bezczynnie.

Wtem jakiś dziwny bulgot odezwał się spod ziemi.

Jeszcze jedno pchnięcie łopatą, a do góry trysnął strumień jakiegoś płynu.

— Źródło! — zawołali równocześnie w najwyższej radości i do dłoni nabrali trochę tego tłustego, gęstego płynu.

Była to czysta ropa naftowa!

Wzruszeni, padli sobie w objęcia.

Nie wolno było jednak tracić im czasu, należało bowiem otwór na razie zatkać i postarać się o rezerwuary.

Leon został jeszcze w polu, i przysunął duży głaz, którym zatkał otwór, aby drogocenny płyn nie odpływał w bagno, a Bill poleciał naprzód, aby o radosnym zdarzeniu uwiadomić Franka.

W mieszkaniu zastał już stół nakryty do kolacji, ale Franka nie było ani w izbie, ani w kuchni.

Bill pobiegł szybko ku drzwiom od komórki, otworzył je i — stanął jak wryty.

Frania nie spodziewała się jeszcze powrotu mężczyzn z pola i przyrządziwszy kolację, poszła do swej izdebki by się umyć.

Bill otworzywszy drzwi od komórki zastał ją pół nagą nad umywalnią i zobaczył cudne, biało-różowe dziewicze piersi.

Ona na jego widok krzyknęła boleśnie i uciekła w kąt komórki zakrywając się kawałkiem ubrania, a on przez chwilę stał na progu i nie mógł się ruszyć.

Po chwili dopiero ociężałym ruchem zamknął drzwi i wrócił do jadalni, gdzie zadumany, jakby senny, siadł przy stole.

Frania ubrała się znowu w swój męski garnitur i weszła do jadalni, patrząc na niego wzrokiem pełnym obawy.

On jednak wcale nie spojrzał na nią, potem dopiero spytał głucho:

— Czy on wiedział o tym?

Domyśliła się od razu, o co mu idzie.

Pytał się, czy Leon wiedział o tym, że ona jest dziewczyną.

— Tak — odpowiedziała.

— A więc byłaś jego kochanką! — wrzasnął, uderzając pięścią w stół.

— Milcz! — odpowiedziała groźnie — nie waż się powstarzać tej obelgi! Tak to mnie lubiłeś, że mnie teraz znieważasz!?

Tyle było dziewiczego oburzenia w jej głosie, że Bill nie tylko uwierzył, ale zawstydził się swej brutalności.

— Przebacz! — rzekł, rzucając jej się do kolan — zobaczywszy, że jesteś dziewczyną, uświadomiłem sobie od razu, jak szalenie cię kocham i w tej samej chwili szalona zazdrość odebrała mi spokój.

— Jeśli mnie kochasz — odpowiedziała dziewczyna — zapomnij o tym i bądźmy nadal dobrymi przyjaciółmi, jak dotychczas.

Podała mu rękę, a on wpatrzył się w jej oczy i po chwili podaną sobie dłoń serdecznie i po męsku uścisnął.

Potem usiadł znowu przy stole i pogrążył się w ponurym milczeniu.

Leon zdziwił się, wróciwszy do domu gdy dowiedział się, że Franek nic jeszcze nie wie o odkrytym źródle ich bogactw. Dziwił się też, że Bill nie tknął wieczerzy; przypisywał to jednak wzruszeniu z powodu odkrycia ropy naftowej.

Po kolacji Franek poszedł do swej komórki, a Bill wyszedł z domu.

Miał we wsi zakupić wszystkie beczki, jakie tylko można było tam dostać, ale nie ruszył się tego wieczora nigdzie, tylko rozmarzony siedział pod domem.

Leon zadowolony, że został sam, siadł i napisał do żony pierwszy raz, od chwili swego z nią rozstania.

Pisał o tym, że znalazł drogę, po której z pewnością o własnych siłach dojdzie do czegoś i będzie miał czoło sięgnąć po nią, jako prawdziwy mężczyzna. Opisał jej swoje trudy i poszukiwania i skutek, jakim zostały uwieńczone, a zarazem rozwijał plany, jak zamierza wykorzystać źródła ropy.

Nakoniec wyrażał obawy, czy ona nie zwątpiła w jego powrót, i czy dochowała mu wierną pamięć i rozpływał się w najczulszych wyrazach miłości i ukochania.

Podał jej wreszcie swój adres i prosił o znak życia.

Potem list zalepił, zapieczętował i położył na stole, a sam poszedł spać.

Bill późną nocą wszedł do izby i przeczytał adres.

— Pani Waldau? Waldau? — rzekł do siebie zdziwiony — „w" Anglicy nie wymawiają. — Aha — przypomniał sobie, tak się przecie Jim właściwie nazywa!

Przypomniał sobie też, że Leon wspominał mu o żonie i to ostatecznie uspokoiło go zupełnie, co do stosunku Leona do Frani.

Nazajutrz Frania ofiarowała się Leonowi, że mu zawiezie list na pocztę.

Ciąg dalszy na stronie 173.

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści“ ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofii

MOIM SYMPATYCZKOM

Za tyle słów pozdrowień i słowa uznania,
Ślę moje skromne słowa, pełne dziękczynienia.
Nie wymieniam w tym miejscu bliższego imienia,
gdyż imiona te łatwe są do rozpoznania.

A więc choćby Słoneczko, co złotem nam świeci
i Biała Uajali, Bajka i Szatynka,
potem nieznana również maleńka dziewczynka,
co radość życia, dobro i uśmiechy nieci.

Niechaj Was promień szczęścia swym piętnem naznaczy,
niech radość nie opuści nigdy Waszych progów,
niech Wam życie wciąż płynie bez cierni i głogów
i uśmiech losu wiecznie towarzyszyć raczy.

Adam Czekalski.

KIM JESTEM!...

„Wesoła Maruszka“. Halo, tu „Wesoła Maruszka“. Dlaczego wesoła? Bo gdy widzę gdzieś smutek, to twarzą swoją pogodną, jak słońce, staram się rozpogodzić zachmurzone lica. Z ust mych nie schodzi nigdy piosnka, a przede wszystkim „Maruszka“. Liczę sobie dwadzieścia wiosen — zdradzę to bez pieczenia raków. — Jestem ciemną blondynką, dość przystojną. Marzeniem moim jest znaleźć bratnią duszę w „Krainie“, z którą mogłabym dzielić swoje refleksje i myśli różne. Dodam jeszcze, że jestem bydgoszczanką. „Młody Marynarzu z Żaglowca“! Jestem wielką zwolenniczką morza, dlatego nawiązałabym chętnie korespondencję z Tobą. Przyjmij pozdrowienia!
Pozdrawiam: „Wesołą Kaszubkę“, „Japonkę“ i „Jankę z Pelplina“, gdyż i ja mieszkałam dawniej przy Pelplinie i do Pelplina chodziłam do szkoły.
Wszystkich „Krainiaków“ pozdrawiam.

DZIWIĘ SIĘ!

„Farida“. Niesłusznym było Twoje mniemanie, że list może zaginąć w masie innych, nie osiągnąwszy celu, bo oto zaszedł szczęśliwie na miejsce i niniejszym jesteś zaprezentowana „Rodzince“ i przyjęta w jej szeregi.
Dziwię się, że Ty, taka miła, mogłaś dotąd nie mieć serdecznej koleżanki — to nieładnie! Widocznie sama nie zadbałaś o to należycie. Jakby nie było, teraz my już się o to postaramy, abyś przestała czuć się samotną.
Co zaś do sprawy poruszonej, to proszę wpatrz się rozsądniej w głąb swego i tamtego serca i nie bierz tego tak lekko.
Właśnie przyszło mi na myśl, że gdy np. dwie osoby spędzą ze sobą jakiś czas, odbędą kilka wspólnych wycieczek, wymienią szereg listów — to takie osoby muszą poczuć do siebie albo większą sympatię, albo niechęć, a nie obojętność. Co Ty o tym myślisz, „Farido“?
Wierzę, że znajdziesz wśród nas człowieka, który nauczy Cię (zgodnie z Twym pragnieniem) jak należy kochać ludzi.
Marzenie Twoje (wiesz!) jest piękne, ja sama pisałabym się na to, a co najważniejsze — jest wykonalne!
Zasyłam Ci serdeczności!

POD WARUNKIEM

„Jagienka“. Dobrze, przyjmuję Cię do naszego grona, lecz pod warunkiem, że rzeczywiście „skrobniesz“ ten poemat na wzbogacenie teczki i utrapienie Wujka Janusza. Właśnie, że chcę, abyś popełniła ten wiersz — ciekawam efektu i... widoku zirytowanego Wujka. On jest na ogół ogromnie powściągliwy i niełatwo uzewnętrznia swoje uczucia — dlatego też nie gniewałabym się, gdybym go tak raz ujrzała w pasji. I to jeszcze w pasji na „Krainiankę“ piszącą wierszem!!... Nie do pomyślenia, nie do pomyślenia!
Owszem, nie mam nic przeciwko temu, abyś mnie nazywała cioteczką, a fakt, że mnie kochasz, sprawia mi niewymowną radość.
Uśmiałam się ze sposobu, jakim mi zakomunikowałaś, iż uprawiasz wszelkiego rodzaju sporty i masz charakter pisma niezwykle dziecinny.
A obietnicę nadesłania Twej podobizny wzięłam na serio i czekam niecierpliwie na tę przesyłkę.
Teraz jeszcze jeden uśmiech i komunikaty:
„Baniauko“. Mamy równe upodobania i zdaje się, że jesteśmy w równym wieku. Może zgodzisz się na zawarcie przyjaźni?
„Heniek“! — Znam Pana!
„Fakir“, „Te - Em“, „Rudi 220—380“ — może zechcecie do mnie napisać? Chyba nie odstraszy to, że jestem sztubaczką. Pan M. Grzegorski S. Czy pozwoli Pan do siebie machnąć liścik?
Pozdrowienia ślę „Smutnej Ślązaczce“, „Smutnemu Sztubakowi“, „Erosowi“, „Ali - Alemu“, „Romantycznemu Śpiewakowi“ i wszystkim koleżankom i kolegom po fachu oraz komunikuję, że każdy, kto do mnie napisze (na ręce p. Zofii) otrzyma prędką odpowiedź i ładną fotkę! Więc piszcie do mnie szybko!

ŚNIEŻNA BAJKA

..Niepokalanie biała dal...
I ośnieżonych smreków czar
I błękit nieba...
Smętny janczarów dźwięk...
Zawodny wichrów jęk...
— Nic nad to mi nie trzeba:
Wpatrzeć się w zimny cud —
Zatracą się życia trud
I łzy i smutek i żal...
Ma dusza śpiewa hymn radości
O szczęściu, o miłości,
Wierzę, że spełni się „wyśnione“,
Że to, co bolało będzie wykreślone,
Że przyjdzie nowa radość życia
I los nie smagnie już z ukrycia...
O! hej!...
..Niepokalanie biała dal
I ośnieżonych smreków czar,
O! hej!...
I błękit nieba —
Nic więcej mi nie trzeba
O! hej!...

„Biała Uajali“.

PROSI

„Meluś“ jest to zgrabna szatynka o pięknych oczach i figlarnie rozwianej czuprynce. Mieszka w Gdyni i tam pracuje w charakterze pracowniczki biurowej.
Prosi „Meluś“ serdecznie o przyjęcie jej do naszego grona i dużo, dużo listów!
Pozdrawiam ją w swoim i Waszym imieniu i życzę przyjemności w korespondowaniu!

DZIĘKUJĘ!

„En - ka“. Dziękuję Panu uprzejmie za nadesłany materiał do „Chwili zastanowienia“ — chętnie się nim posłużę w miarę zapotrzebowania.
Miło było mi stwierdzić, że odezwałeś się znów po dość długim milczeniu. Mam nadzieję, że „Krainiacy“ pamiętają Pana jeszcze i chętnie nawiążą korespondencję.
Prosi mnie Pan, abym Mu wskazała kogoś z dawniejszych „Krainiaków“ — otóż napisz może do „Czarnulki z Grudziądza“, „Uśmiechniętej Wandulki“, „Irki - Wielkopolanki“, „Te-Em'a“, „Czarodziejki“, „Śnieżycy“, „Alohy“.
Zresztą napisz tam, gdzie pociągnie Cię sympatia.
Życzę Ci przyjemności i posyłam serdeczny uścisk dłoni!

POZDRAWIAM I CZEKAM!

„Uśmiechnięta Wandulka“. Otrzymałam rzeczywiście Twoje życzenia i jeszcze raz uprzejmie dziękuję. Wzajemnie życzę Ci dużo pomyślności i radości na rok cały!
Mylisz się, Dziewczynko, w swym przypuszczeniu, dowodem list niniejszy i numery pisma, które już — sądzę — otrzymałaś! Zleciłam administracji wysyłkę ich jak najśpieszniejszą.
List wysłałam na właściwy adres — winien dojść i odpowiedź otrzymasz chyba niedługo.
Cieszy mnie niewymownie to, o czym mi pisałaś — dobrze Ci życzę i chciałabym, aby Ci zawsze było dobrze i abyś była szczęśliwa.
Na razie kończę, bo mam jeszcze dużo śpiesznych listów do załatwienia. Zatem pozdrawiam Cię i czekam na nowy list.

WAŻNIEJSZE!

„Bladolica Bydgoszczanka“. Jakoś mnie dziwnie uderza pseudonim, obrany przez Panią. Ma się na jego dźwięk nader smutne refleksje. A przecież wiem, że nic przykrego Pani nie grozi — nie rozumiem, dlaczego wybrałaś ten, a nie inny?! Zresztą to mało ważne, znacznie ważniejsze jest to, że jesteś w swym pierwszym liście ogromnie miła i ujmująca, że mówisz tak szczerze i niemniej rozumnie i że zdradzasz dobre serce.
Chętnie przyjmuję Cię do „Rodziny“ i pragnę, abyś szybko wrosła w nią uczuciem pełnym! Jednakże proszę o szybkie nadesłanie adresu.
Posyłam Ci przyjacielski uśmiech i ciepłe słowa pozdrowień!

HALO!...

„S. 13“. „Halo! Proszę „Krainę“ o odrobinę pamięci. Na każdy list odpowiem. Nie sądzę, aby w całej „Rodzince“ nie było kogoś szczerze życzliwego dla smutnego i bardzo nieszczęśliwego Waszego braciszka! Pozdrawiam wszystkich serdecznie i słowem „halo, halo, halo“ wywołuję odzew!!!“

PAMIĘTAM!

„Kropelka leśnej rosy“. Źle myślisz, Dziewczynko, bo mam zwyczaj nie zapominania — przynajmniej nieszybkiego zapominania — raz poznanych osób. I dlatego, choć podróż była daleka i bogata we wrażenia, przypominam sobie „Krainiankę“ przypadkowo poznaną w drodze z Inowrocławia via Toruń, Warszawa i dalej! Pamiętam i to, że obiecała Pani napisać do nas po wakacjach, a nawet to, że zamierzałaś zmienić pseudonim. I jeżeli o to ostatnie chodzi, to doprawdy trudno mi wcisnąć Twoją osobę w jeden z tych wymienionych. Wszystkie jakoś nie odpowiadają wrażeniu, które wywarłaś na mnie. „Zawierucha — nie! „Bolszewik — nie! „Śmieszka“ — nie! Typu sportsmenki też nie uosabiasz, a i nie wiem właściwie, czy jesteś zapaloną sportsmenką.
Ja dałabym Ci pseudonim „Ujmująca“.
Jednakże nie mam specjalnych zastrzeżeń w tym kierunku i możesz sobie wybrać taki, który Ci przypada do gustu.
Dlaczego ma mi się nie podobać Twój styl? Przeciwnie, z przyjemnością czytam tę białą kartę, zapisaną równo, okrągło i gładko. Od razu spostrzega się, że masz łatwość wysławiania się w piśmie i że w ogóle zajmujesz się pisaniem nie tylko, jak się to mówi, od niedzieli.
Z odpowiedzi wnioskujesz — nie wątpię — że już wróciłam i pracuję, jak zwykle. A praca to miła i wdzięczna, więc i przyjemność w niej duża.

Wierzę, że szybko napiszesz znowu i w tej myśli zasyłam Ci ciepły, przyjacielski uśmiech!

„Halo! „Sportsmenko z Kujaw" i „Kujawianko" — zasyłam pozdrowienia!

„Jeden z Kujaw" — myślę, że się znamy!

„Myśliwemu" milutkie pa!

A wszystkim „Krainiakom" serdeczne pozdrowienia!

ŻYCZĘ!

„Dziewczynka z ludu II". Przyjmuję Cię do „Krainy" i życzę, aby Ci w niej było dobrze. To nic, że cichutko starasz się wsunąć do naszego grona — myślę, że znajdzie się jeszcze miejsce dla Ciebie i pamięć.

Pozdrawiam Cię i przypominam, że nie nadesłałaś mi adresu.

PROSZĘ O INNY PSEUDONIM!

„Duch puszczy". Ogromnie miło było mi przeczytać te wszystkie wdzięczne zachwyty i superlatywy, niemniej obawiam się, że były nieco za silne! Natomiast decyzja Pana i Jego Siostry, że aby obiektu zachwytu nie podciągnąć pod szarą powszedniość rzeczywistości nie należy go poznawać osobiście — nie natrafia absolutnie na mój sprzeciw, bo wiem, iż rzeczywiście czar nieznanego często pryska z chwilą, gdy nieznane staje się znanym.

Owszem, z przyjemnością przyjmuję Pana do „Krainy" i z niemniejszą przyjmę Jego Siostrę, lecz pod warunkiem, że ona nadeśle mi inny pseudonim, ponieważ ten obrany jest niefortunny! Nie odpowiada kobiecie.

Pozdrawiam Pana, jak i Jego Siostrzyczkę i czekam na list z innym pseudonimem dla niej!

OZNAJMIAM SWĄ RADOŚĆ

„Zuch dziewczyna". Zasyłam Ci, Maleńka, moc serdeczności i oznajmiam swą radość z powodu Twego zadowolenia i szczęścia. Oby tak zawsze było i oby Ci te złote promienie nigdy nie uciekły!

Pisz dużo — zawsze niecierpliwie czekam na wiadomości od Ciebie i zawarte w nich promienne, młodzieńcze entuzjazmy.

Komunikaty:

„Wirryt". Jeśli znasz p. Zbyszka Bystrego, to pozdrów go i poznaj z „Krainą". Jego to na pewno zainteresuje.

„Przedwiośnie". Jesteś kochaną słodką Tuśką, moją miłą Dziewczyneczką. Chciałabym, abyś mnie pokochała.

„Bajka" — ślę Ci gorące pozdrowienia.

„Biała Uajali". Czy otrzymam odpowiedź? Czekam!

„Złoteńko". Kiedy odwiedzisz mnie, Mileńka, w Łodzi?

„Taki Jeden". Jestem bardzo zadowolona z naszej korespondencji i mam nadzieję, że jednak poznamy się!!

Dla „Maruty", „Niny — harcerki z R", „Złotego Słoneczka" i „Erosa" ślę pozdrowienia i uściski dłoni!

PRZEDSTAWIAJĄ SIĘ WAM

„Wesoła Kokuś" i „Figlarna Mimi". Te dwie dziewczynki pragną zostać przyjęte do naszego rodzinnego, jak mówią — chramu i nawiązać kontakt korespondencyjny z poszczególnymi jego członkami. A oto posłuchajcie, jak buńczucznie przedstawiają się Wam poniżej:

„Halo! Kochani — tu bombardują dwa pędziwiatry: „Figlarna Mimi" i „Wesoła Kokuś". Staramy się wszystko w życiu brać na wesoło. Na smutki i żale nie dajemy sobie czasu. Sadzimy słusznie, że śmiech to radość i krasa życia. Mamy zawsze pogodę ducha, humor różowy, i gotowy uśmiech na pąsowych usteczkach.

A teraz przedstawiamy się kolejno i prosimy o... serdeczne powitanie!

Ja „Figlarna Mimi" jestem trochę sportsmenką. Zawsze gorliwie śledzę wszelkie komunikaty sportowe w prasie i cieszę się z nowych sukcesów w tej dziedzinie.

Pasjami lubię jazdę konną, a także rowerową. A jakie z tego powodu miałam awanturnicze przygody?! Uchowaj Boże!

No i lubię trochę polować, ale na co?... A Ty, „Myśliwy", polujesz i niby nie umknie Ci żadna dziewczyna? Pamiętaj, że Figlarnej Mimi" nie umknie żaden chłopiec. Może i Ciebie upoluje...

„Zbijobruku poznański" — my się znamy. Napisz, a przekonamy się — dobrze?

„Sarenko" — polubiłam Cię. Ślę Ci moc uścisków i pozdrowień.

„Młody Orle" — powodzenia i pa!!"

„Ja — „Wesoła Kokuś", lubię wszystkich bałamucić zazwyczaj, a tylko czasami staję się poważna, jak stara panna. Lubię czytać ładne książki, tańczyć w takt nastrojowych, cygańskich melodyj i wesołością rozjaśniać sobie życie.

Pozdrawiam „Samotnego Włóczęgę", „Solidnego Ślązaka" i proszę o słówko — odpowiedź murowana!

„Wesołej Pomorzance" ślę dużo, dużo uśmiechów. Napisz proszę!

Wszystkim Siostrzyczkom i Braciszkom radzimy, aby porzucili smutki i żale, zostawiając je na starość. Radosna młodość niech będzie górą!!!"

Pozdrawiam Was, Małe Łobuzy, i proszę o nadesłanie adresów!

ZDARZA SIĘ!

„Smutna Iwonka". Droga Dziewczynko! Na pytanie odpowiadam, że dużo zadowolenia może Ci dać korespondencja z „Zuch Dziewczyną", „Blanką", „Przedwiośniem", „Wenus", „Wesołą Pomorzanką", „Alohą" i szeregiem innych. Nie mogę nieomylnie twierdzić, która z „Krainianek" ma wszystkie dane po temu, aby zdobyć Twoją i dać Ci swoją przyjaźń — to już musisz sama wypróbować. Wiem, że niektóre dziewczynki związały się mocną przyjaźnią w konsekwencji korespondencji, ale nie mogę przewidzieć, która Tobie będzie odpowiadała zupełnie. Zdarza się, że jedna drugiej od razu po pierwszym liście przypada (mówiąc popularnie) do serca — a czasem zżywają się dopiero po długiej wymianie myśli.

Jeżeli chodzi o wskazanie Ci harcerki, to czynną i zamiłowaną druhną jest „Nina — harcerka z R." Jest to bardzo miła i inteligentna „Krainianka", która niedawno została przyjęta do naszego grona.

Życzę Ci, abyś znalazła szczerą i głęboko przyjazną duszę w naszej „Rodzinie" i czekam niecierpliwie na list, w którym mi o tym doniesiesz, jako o fakcie dokonanym, czy trwającym w stadium dokonywania!

Pozdrawiam Cię bardzo serdecznie i przechodzę do komunikatów:

„Halo! Zasyłam moc pozdrowień dla całej „Krainy"!

„Czarodziejko" — za wierszyk bardzo, bardzo dziękuję! „Słodka Danuś" — smuci mnie Twoje milczenie! „Bella Donna" — za miłe pozdrowienie dziękuję i szczerze się odwzajemniam. Może pierwsza do mnie napiszesz? Odpowiem na pewno. „Milutka Leno" — pozdrawiam Cię! „Przedwiośnie" i „Feniu znad jezior" — przyjmijcie szczere uściski i gorącą prośbę o liściki. Panie St. Rybicki z Boguszyc, dlaczego milczysz? Pisałam pod podanym adresem, czyżby uległ zmianie? Czekam".

MOC POZDROWIEŃ!

„Irka - Wielkopolanka". To dobrze, że jesteś zadowolona z wszystkiego, co ja czynię — mam na myśli zawsze i jedynie dobro Wasze, Drodzy „Krainiacy"!

W sprawie Twego zapytania odpowiadam: Nie! Źle się domyślałaś, Kochana Moja!

Jak tam Twoja leśniczówka — chyba już straciła swą niepokalanie białą szatę? Tu u nas śniegu nie ma nawet na lekarstwo, a za to jest niesłychanie dużo lepkiego błotka na ulicach i drogach.

Za życzenia dla „Krainy" i dla mnie serdecznie dziękuję i wzajemnie przesyłam moc pozdrowień!

Teczka Wujka Janusza

POWITAM Z PRAWDZIWYM ZADOWOLENIEM

„Zbłąkana Gwiazda". Chodzi Pani o szczerą krytykę, a więc jak najchętniej przychylam się do życzenia. Nowelce Pani mam, niestety, dość dużo do zarzucenia. W pierwszym rzędzie brak w niej zwartości myśli — zdania są rzucane chaotycznie i banalnie — taka nowela nie będzie nigdy przedstawiała jakiejkolwiek wartości literackiej. Czy czytała Pani nowelki nowoczesnych autorów? Jaka tam przejrzystość i siła myśli, prawda? Nieraz w jednym zdaniu jest więcej powiedziane, niż powiedziała Pani w swojej długiej nowelce. Stąd wniosek, że ekonomia nowoczesnego życia weszła nawet do literatury. Już nie spotyka się teraz ckliwych wynurzeń i długich zachwytów nad maleńką trawką i chmurką, jak to było niegdyś, ale raczej przedstawia się wszędzie zdrowe, trzeźwe życie. Teraz w nowelkach autor uczy ludzi żyć, borykać się z przeciwnościami losu, uczy patrzeć na świat dzielnie i mądrze. Przyzna więc Pani sama, że absolutnie nie zastosowała Pani tego w swej nowelce. Na przyszłość proszę więc o tym pamiętać, a na pewno pracę oddam do druku.

Utworek: „Ostatni wiersz dla Ciebie"... — miły. Ujrzy go Pani w następnym numerze.

Dalsze przesyłki Pani — powitam z prawdziwym zadowoleniem!

WIADOMOŚĆ UCIESZYŁA MNIE..

P. H. J. R. Ucieszyła mnie obietnica, że niedługo otrzymam, od Pani ładne zdjęcie. Doskonale! Czekam w napręzeniu, bo przyznać się muszę, że interesuje mnie mocno ta „Dziewczynka z zaklętego młyna". Jak ją sobie wyobrażam? Musi mieć jasne włosy i duże, zadumane wiecznie oczy. A może się mylę, może ta dziewczynka wygląda zupełnie inaczej, t. zn. ma ciemne włosy i figlarne, błyszczące oczęta? Proszę zdradzić!

Wierszyki tym razem zawiodły. Poprawiać zaś ich nie chcę, bo wiem, że w następnej serii znajdę utworki, które będę mógł zamieścić bez zastosowania większych zmian.

Bardzo serdecznie Panią pozdrawiam!

NIE MAM OCHOTY...

„Blanka". „Jestem ogromnie zła na Pana". Aczkolwiek nie jestem tchórzem, a nawet powiedziałbym człowiekiem dzielnym i zawsze mocnym w języku, to jednak słowa Pani zrobiły na mnie pewne wrażenie. Nie mam bowiem ochoty narażać się najmilszej z moich sympatyczek, przynoszącej mi tyle radości swoimi liścikami i wierszykami. Coprędzej więc odszukałem niebieską, grubą kopertę, przewertowałem jej zawartość i oto daję odpowiedź:

Wierszyki: „Kto nie wie"..., „Graj jeszcze"... i „Jak dawniej" — są ujmujące. To samo zapewne powiedzą o nich Czytelnicy. Na pierwszy ogień pójdzie wierszyk: „Graj jeszcze"...

A teraz bardzo przepraszam za zwłokę w odpowiedzi i na przyszłość, proszę, niech Pani pamięta, że Wujek Janusz jest zawsze dżentelmenem i nigdy żadnego listu nie pomija milczeniem.

Komunikaty Pani są dzisiaj bardzo krótkie: „Przesyłam uśmiechy i pozdrowienia mym Siostrom, Mamusi i „Gerżabkowi". Dalej „Belli" w spodniach, Reni S., Zosi U., Maryli O. i P. Nunie Kluzowej".

GRAJ JESZCZE...

Beniowi w podzięce.

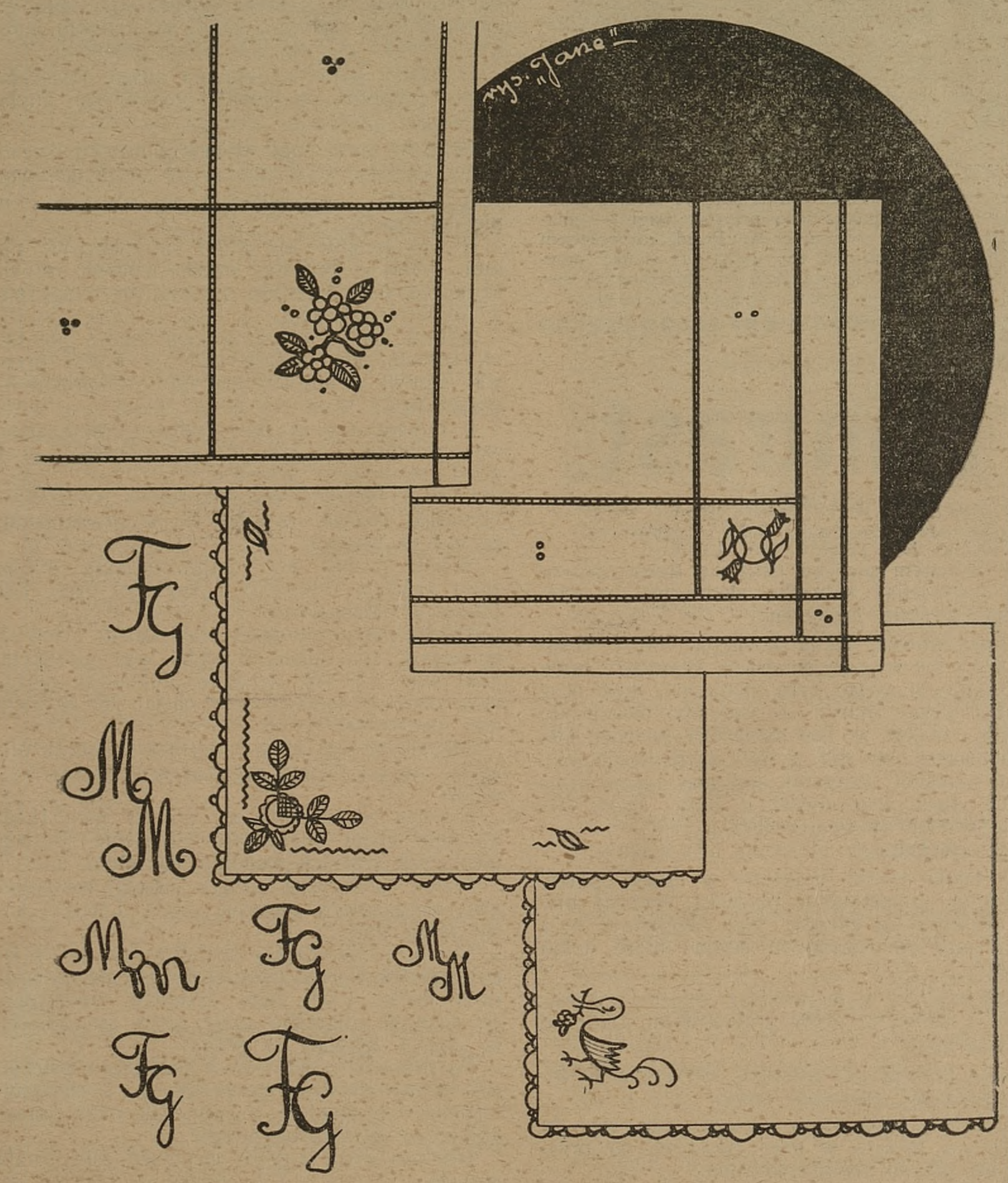
Płyną wdzięczną melodią
Jakieś rzewne tony,
A mnie się wciąż wydaje,
Że to grają dzwony.

Echo umarłych wspomnień
Wplata się w czar pieśni,
Szkoda, że szczęście moje
Odeszło tak wcześnie.

Grajże jeszcze, cyganie,
Niech nie milkną tony,
Chcę przeżyć dziś raz jeszcze
Sen dawno prześniony...

Helena Thielówna.

Raj kobiet



Miłą dekoracją stołu są serwetki wykonane z białego, czy też kolorowego płótna i zahaftowane w drobne, barwne motywy. Powyżej podajemy kilka projektów takich serwet oraz monogramy do znaczenia bielizny.

Ład i porządek w domu

Każda z pań domu chciałaby zapewne mieć to przekonanie wewnętrzne, iż u niej panuje wzorowy porządek. Jedna kategoria kobiet widzi wszelkie braki w swym gospodarstwie, chciałaby je naprawić, lecz nie wie jak się do tego zabrać. Brak jej zmysłu organizacji. Inne panie domu widzą zło, lecz nie przeciwdziałają, bo im tak wygodniej. Bezwzględnie, kobiety z pierwszej kategorii staną się z czasem wyznawczyniami ulepszonych metod pracy, podczas, gdy kobiety z natury leniwe nieład spostrzegą, ale mu nie zapobiegną. Utrzymanie porządku w domu nie przedstawia większych trudności tam, gdzie panuje dobra organizacja pracy. Polega ona na wyszkoleniu poszczególnych członków rodziny, począwszy od głowy domu, a skończywszy na pięcioletnim dziecku. Wskazanym jest równocześnie systematyczne pilnowanie przy porządkach pracownicy domowej. Zobaczymy na czym polega wyszkolenie członków rodziny. Otóż przede wszystkim, każda z osób dorosłych lub dzieci zamieszkująca wspólne mieszkanie, powinna odkładać sama na przeznaczone miejsce, przedmioty, których używa. Przy tym musi każdy dbać o całokształt ładu w domu. Sprzątać po sobie nie jest rzeczą zbyt trudną, nabiera się w tym wprawy, ale jednej osobie, choćby to była zręczna pracownica domowa, może być zbyt uciążliwe dokładne sprzątanie po 5 osobach, szczególnie, gdy musi tego dokonać w oznaczonej godzinie. Cierpi na tym całokształt porządków domowych. Tam gdzie nie ma pracownicy domowej, a rodzin takich jest przewaga, pani domu stale przemęczona, nie może utrzymać należytego ładu, lub też czyni to kosztem swego zdrowia. Trzeba więc dzieci od lat najmłodszych przyuczyć do pomagania matce, jest to zadanie bardzo trudne, gdyż trzeba przełamywać egoizm i lenistwo młodych. Również i pan domu, władca, niech zechce, proszę, dopomóc żonie. Dokona tego, odkładając rano przed wyjściem przedmioty toaletowe na przeznaczone im miejsce. Niech części garderoby nie leżą rozrzucone po meblach, a liczne krawaty na toaletce żony. Sprzątanie tych drobiazgów jest pracą tak żmudną, że po tym nie pozostaje sprzątającej dość czasu na staranne zamiecenie i okurzenie pokoju. Dziewczynki szukające jakiegoś przedmiotu w szafie rozrzucają bieliznę, paski, krawatki itd. bez skrupułów, rozumując, „mama i tak poukłada!" Nie zrobią tego ponownie, tam, gdzie matka spokojnie poczeka, aż wrócą ze szkoły. Przypadkiem przyprowadzą koleżankę, a tu pokój w nieładzie! W przyszłości, aby uniknąć krytyki przyjaciółek, dziewczynki o swój kącik dbać będą. Chłopcy, zaleją atramentem ceratę na stole, przy którym pracują, zaśmiecą skrawkami papieru pokój, ale tylko wtedy, gdy służąca po nich ceratę zmyje, a pokój zamiecie. Nie zrobią tego po raz drugi, gdy sami te pracę wykonać będą musieli.

Gromadka wracająca w południe ze szkoły, lub dorośli przychodzący na obiad, mogą przez parę chwil zniszczyć ład, który z dużym nakładem pracy przed południem zaprowadzono. Hall — przedpokój wygląda wtedy jak rupieciarnia, a może wyglądać, mimo licznych domowników, jak gdyby nikt przez niego nie przeszedł. Do płaszczy przeznacza się tam, gdzie rodzina jest liczna, dla każdej osoby osobny wieszak, podobnie jak to bywa w szkole. Płaszcze nie będą wtedy leżały na poręczach krzeseł, lub wisiały jeden na drugim. Czapki, szaliki, rękawiczki, również niech mają przeznaczone sobie miejsce, a kalosze niech każdy ustawi pod ścianę prosto i starannie. Tego żadna służąca za domowników nie wykona, po pierwsze nie ma ona na to czasu, a potem nie widzi nieładu, który wchodzi w zakres estetyki. W porze zimowej, gdy dzieci używają sportów, trzeba dopilnować, aby sanki, narty, łyżwy odkładano na to samo miejsce. Dzieci ośnieżone niech nie wchodzą, tam gdzie można frontowymi drzwiami do mieszkania, lecz kuchennymi, oszczędzi się wtedy zadeptania hallu.

Każdy przedmiot w domu powinien mieć swoje ściśle określone miejsce, gdzie go się stale odkłada. Oszczędzi to wiele czasu tym, którzy zawsze czegoś szukają. Mieszkanie, w którym krzesła np. stoją symetrycznie naokoło stołu jadalnego, a biurko nie jest składnicą nagromadzonych papierów źle okurzonych, milej przedstawiać się będzie dla oka. W pokoju, w którym codziennie gromadzi się cała rodzina na kilka godzin, ze względów oszczędności światła i opału, powinno się dbać specjalnie o ład i sympatyczny wygląd. Ci, którzy odrabiają zadania niech nie rozkładają równocześnie licznych książek i zeszytów, przeszkadzających sobie wzajemnie na stole. Równocześnie z kilku przedmiotów uczyć się nie mogą. Pan domu niech nie pogardza popielniczkami, a czytając gazety dobrze by było, żeby je odkładał na specjalną półkę, a nie zostawiał leżące na meblach. Pani domu, szyjąc, musi unikać rozrzucania nitek, skrawków materiału itd. Łatwiej będzie wrzucić te drobiazgi do kosza, niż kosztem zginania krzyża, podnosić je z dywanu. Zacytować by można mnóstwo takich szczegółów, które ułatwią na pewno utrzymanie ładu bez niepotrzebnego zamieszania w domu.

Skoro pomocnica domowa spostrzeże, że jej pracodawcy każdy drobiazg odkładają na swoje miejsce, jeżeli jej tylko zależy na posadzie, będzie się starała postępować podobnie w tych regionach, gdzie ona rządzi. Trzeba od niej wymagać, aby przedmioty używane w kuchni, stale na tym samym stały miejscu. W dobrze zorganizowanym domu można w nocy sięgnąć po dany przedmiot, gdyż wiadomo, iż on tam zawsze stoi. Niedopuszczalnym jest, aby naczynie niezmyte stało w kuchni od wieczora do rana. Kuchnia musi być codziennie tak sprzątnięta, jakgdyby nasza „Marysia" właśnie robiła przedświąteczne porządki. Trud tych porządków może być zaoszczędzony, o ile stale utrzymuje się w kuchni, śpiżarni wzorową czystość. Nie można sobie logicznie wytłumaczyć, dlaczego w normalnym dniu mogą się stoły kuchenne lepić, bo niewyszorowane, dobrze, a dlaczego np. w Boże Narodzenie oglądamy je świecące czystością. Z tradycją „wielkich porządków" miejmy odwagę zerwać — nie dlatego tylko, iż praca ta jest postrachem całej rodziny, lecz dlatego, iż przy starannym codziennym sprzątaniu, staną się one zbyteczne.

Wygodniej układa się praca dla pani domu i dla pracownicy domowej, jeżeli stosują się one do pewnego planu. W tym celu można w kuchni wypisać na tabliczce rozkład porządków na każdy dzień w tygodniu. Są to prace, których codziennie się nie wykonuje. Oto przykład:

Poniedziałek: małe pranie (chusteczki, pończochy, itd).

Wtorek: czyszczenie okien, mycie drzwi.

Środa: prasowanie.

Czwartek: czyszczenie srebra, alfenidy, klamek.

Piątek: trzepanie dywanów, pościeli itp.

Sobota: gruntowny porządek w łazience i kuchni.

Wszelkie reformy łatwiej dadzą się przeprowadzić od pewnego terminu, np. ze zmianą pracownicy domowej. Wobec roku nowego

zaprowadzimy ową reformę zaraz. Niech młodzież zastosuje się do nowych wymagań matki, w dziedzinie porządku. Pani domu będzie musiała jednakże z dużą cierpliwością oczekiwać spełnienia wszystkich swych dezyderatów.

Maria Skrzydlewska.

HIGIENA I ZDROWIE

Zabiegi odchudzające i tuczące

Nie ma człowieka, który by w pewnych przynajmniej warunkach, w pewnych okresach życia nie interesował się swoją wagą. W okresie wzrastania chętnie notujemy każdy przyrost wagi i wzrostu, ponieważ każdy centymetr i każdy kilogram zbliża nas do dojrzałości.

Po przebytej ciężkiej chorobie, wyniszczającej organizm, ważymy się, by stwierdzić z radością poprawę zdrowia, której widomym znakiem jest powrót do tuszy normalnej. Kiedy jesteśmy zdrowi i nic nam nie dolega, skłonni jesteśmy szacować nasz wygląd pod kątem widzenia estetyki.

Fanie swą tuszę i wagę regulują według mody, która w danym czasie panuje. Mój Boże! — Czego się nie robi dla osiągnięcia „linii": głodzimy się, by zeszczupleć i objadamy się, by za wszelką cenę zaokrąglić swe kształty, skoro tego zażąda Pani Moda.

Istnieje jeszcze jeden punkt widzenia, jeśli chodzi o tuszę, punkt widzenia nauki o zdrowiu. Nie jeden słusznie zapyta, ile człowiek powinien ważyć normalnie? Zajrzyjmy do podręczników. Tam znajdziemy tabele, w których odpowiednie rubryki wskazują normalny, „przepisowy" stosunek wzrostu i wagi. Na ulicy lub na dużym dworcu kolejowym każdy może się zważyć, a znając wzrost, też z łatwością określić, czy jest za chudy, czy za tłusty.

Niestety, formuła „Normalny człowiek powinien ważyć..." niezupełnie „sztymuje", ponieważ dane liczbowe tabeli odpowiadają wynikom przeciętnym i dlatego dla każdego poszczególnego przypadku nie mogą być obowiązujące. Bardzo często, a nawet zazwyczaj dany osobnik bez szkody dla zdrowia może ważyć o parę kilogramów mniej lub więcej. Pamiętajmy, że tabele zostały oparte na tysiącach pomiarów i że liczby przeciętne zostały uznane za normę, a w tej normie odchylenia w obu kierunkach, w górę i w dół, zupełnie się zatraciły.

Mimo takiego zastrzeżenia jedynie ważenie się co pewien czas dla kontroli powiedzieć nam może, czy jesteśmy za chudzi, czy — odwrotnie, za tłuści. Wrażenie, jakie sprawiamy naszym wyglądem, nie zawsze pokrywa się z chudością lub otyłością. Nieraz osobnik o twarzy okrągłej i zaokrąglonym podbródku sprawia wrażenie tłustego, pomimo, że na pozostałych częściach ciała, przed okiem ludzkim ukrytych, nie posiada nadmiaru podściółki tłuszczowej i waży stosunkowo mało.

Osobnik o twarzy pociągłej, rysach ostrych, kończynach szczupłych sprawiać może wrażenie chudego, aczkolwiek waga może okazać się dużą, gdyż na korpus otyły i kamizelka przykrywa potężne pokłady tłuszczowe. Wygląd człowieka czasem bywa naprawdę „optycznym złudzeniem."

Pewne nieznaczne odchylenia wagi u danego osobnika uważać należy za normalne. Wahania w granicach jednego kilograma nie mają istotnego znaczenia. Różnice takie wyrównają się w przeciągu dni kilku.

Wahania wagi zależeć mogą od zmiany zawartości wody w organiźmie. Spożywanie potraw bardzo słonych może być powodem nagłego wzrostu wagi na skutek wzmożonego pragnienia i picia wody. Przesolone tkanki zatrzymują przez pewien czas wodę w ustroju — stąd nagły wzrost wagi ciała.

Przejście z diety ubogiej w węglowodany na dietę, w węglowodany obfitującą, powoduje również zatrzymywanie wody w organiźmie. O utyciu w takich razach mowy być nie może. Zmiana diety od razu zmienia sytuację.

Nagły spadek wagi ciała obserwujemy wówczas, kiedy ustrój traci dużo wody przy wzmożonym poceniu się — w czasie forsownych marszów, wycieczek górskich, ćwiczeń sportowych lub ciężkiej pracy fizycznej. W dzień upalny ubytek wagi wynosić może kilka kilogramów. W takich wypadkach również mówić nie można o wychudzeniu, a tylko o odwodnieniu ustroju.

Osoby otyłe, dążące na drodze pocenia się do schudnięcia i z radością notujące skrupulatnie stracone w ten sposób kilogramy, przekonają się niebawem, że spadek ich wagi uzyskany z takim mozołem, jest niestety złudny i nietrwały. Pod wpływem takiej kuracji tłuszczu nie ubyło ani trochę, nastąpiło jedynie odwodnienie tkanek, które w przeciągu paru dni po zaniechaniu kuracji, pod wpływem wzmożonego pragnienia i zwiększonego zapotrzebowania na wodę, zostanie wyrównane.

KURACJA ODCHUDZAJĄCA

Odtłuszczająca kuracja dąży do zmniejszenia ilości tłuszczu w ciele za pomocą stosowania odpowiedniej diety. Dieta odchudzająca ogranicza spożywanie tłuszczów i węglowodanów, nie może być jednak pozbawiona białka. Kiedy, w jakich warunkach lekarze stosują kurację odchudzającą? Wówczas, gdy otłuszczenie zagraża zdrowiu pacjenta, albo jest już powodem pewnych objawów chorobowych. Zbyt wielkie obciążenie (dosłownie) kończyn dolnych przy nadmiernej wadze ciała prowadzić może do schorzeń stawowych. Serce, naczynia krwionośne i mięśnie szkieletu u osób nadmiernie otyłych cierpią z powodu przepracowania, podobnie jak u człowieka, który dźwiga ciężary. U osób otyłych stwierdza się często nadmierne ciśnienie krwi.

Kurację odchudzającą należy przeprowadzać bardzo oględnie. Przy tym nie należy się głodzić bynajmniej. Dieta powinna być odpowiednio przystosowana i niektóre potrawy powinny być zupełnie z jadłospisu skreślone. Najlepiej przeprowadzać kurację w specjalnych zakładach leczniczych.

Obok kuracji odchudzającej ważne znaczenie praktyczne ma również kuracja tucząca dla osób posiadających wagę zbyt małą. Ostatnio arsenał leków tuczących wzbogacił się o dwa potężne środki, pobudzające apetyt i powodujące przyrost wagi — mianowicie insulinę i witaminę A. Przed rozpoczęciem kuracji należy postarać się wykryć i usunąć przyczynę, chudnienie wywołującą, w przeciwnym bowiem razie kuracja nie da pożądanego wyniku.

JAN FELIKS PŁOCIENNIK

Kontrast

(NOWELA)

Wieczór już rozsiał swe mroki.

W żelaznym piecyku palił się trzeszczący ogień i oświetlał sylwetkę siedzącego w głębokiej zadumie mężczyzny.

Twarz świeża, lekko pociągła, włosy ciemne, starannie w górę zaczesane, krzaczaste brwi, spod których widać było niebieskie, duże oczy i miły wyraz twarzy — wszystko świadczyło o tym, że jest to typ człowieka szlachetnego.

Mężczyzna nie żył w tej chwili wspomnieniem wczesnej młodości, ani marzeniem przyszłych chwil, lecz myślał o karcie życia, kiedy to spotkał na swej drodze ją, Alę.

Była piękna.

O takiej czytał najpierw w bajce, potem w jakiejś fantastycznej powieści; widział nieraz podobne na ekranie, lecz Aleksandra była piękniejsza od wszystkich kobiet, które dotąd widział.

Zapoznał ją w malowniczy zimowy wieczór, kiedy z nieba spływały srebrzystymi sznurami płaty śniegu.

Białe gwiazdeczki zmuszały człowieka do zachwycania się pięknem zimy...

Ala była tak samo urocza, zda się, że miała coś takiego w swej postawie, co przypomina piękno nadprzyrodzone.

Mirski pamiętał doskonale tę chwilę, kiedy spotkał ją w gronie kolegów, idących razem do miasta wieczorną godziną przez piękny park, pogrążony w białej zadumie. Ma dotąd jeszcze przed oczyma jej szczery uśmiech, zadarty lekko w górę mały nosek, czarne jak węgiel oczy z firanką takichże rzęs i złoto-blond włosy, obielone śnieżnym pudrem, na których spoczywał mały, zgrabny kapelusz.

Witolda nie zainteresowała wprawdzie szczególnie wówczas czarująca dama, gdyż nie należał on do kategorii tych mężczyzn, którzy podkochują się w każdej piękniejszej kobiecie. Zachwycał się rzadko urokiem pań.

Jego wszyscy koledzy, z którymi spędzał długie chwile w klubie zawodowym, kochali się bez pamięci w uroczej, nowoprzyjętej członkini.

Jej piękna twarzyczka, okolona puklami jasnych włosów, przyciągała — jak magnes, zaś czarne jej oczy, onieśmielały nawet... starych „wygów"...

Lecz nie onieśmieliły Witolda.

Nie zakochał się tylko on jeden.

Dopiero przez swych przyjaciół zwrócił baczniejszą uwagę na pannę Kobrzyńską.

Zrazu śmiał się z wszystkich, dużo z nią tańczył i swawolnie jej towarzyszył na wieczorkach koleżeńskich, czego zazdrościli mu szczerze inni, rzucając ku niemu— choć z uśmiechem na ustach — zjadliwe spojrzenia.

Najwięcej był zazdrosny i ubiegał się o względy młodej kobiety — jego przyjaciel Michaś. Śmiał chwalić się nawet, że nikt ją sobą tak dalece nie zainteresował, jak on. Był dumny. Ale — niestety — zawcześnie.

Mirski nie nudził Ali spotkaniami, nie wyznawał i nie przysięgał, że kocha ją, tylko bawił się i śmiał, co jej się niezmiernie podobało — tak, że piękna koleżanka coraz częściej umykała z grona adoratorów, szukając jego towarzystwa.

Młodą kobietę ujął kontrast, jaki bił od Mirskiego na każdym kroku wśród otaczających go przyjaciół.

Podobał się u tego przystojnego mężczyzny humor, którym tryskał wokoło — tak, że nawet koledzy zwolna godzili się z losem, mówiąc nieraz: „Ci są dla siebie stworzeni..."

I młoda para z dnia na dzień zaciskała węzeł przyjaźni, z której zrodzić się miała miłość.

Płomień wybuchnął wpierw u młodej dziewczyny, otulając serce mężczyzny swym ciepłem.

A Mirski, czy zakochał się również w pięknej pani?...

Na to pytanie nie mógł odpowiedzieć on sam. Mówiąc prawdę, chciał wmówić sobie, że kocha Alę, lecz nie wierzył, by mógł się w ogóle zakochać...

Witold kochał całym sercem kiedyś już inną kobietę, ale nieszczęśliwie. I odtąd przestał wierzyć w miłość. Stał się — poprostu — pesymistą.

I dobrze mu z tym było. Miał głowę spokojną — jak mu się zdawało — i mógł swobodnie pracować.

Lecz po każdym widzeniu się z panną Kobrzyńską, Witold utrwalał się w przekonaniu, że był w błędzie.

Wszak miłość jest najprawdziwszą treścią życia każdego człowieka i bez niej życie jest jałowe i bezsensowne.

Każdy zna to uczucie, choć każdy człowiek inaczej kocha i inaczej widzi swe szczęście. Nikt więc nie jest w stanie dokładnie zrozumieć cudzego serca, choćby chciał jak najwierniej podpatrzeć życie...

Nie zrozumiała więc i Aleksandra serca Witolda, czy też Witold nie zrozumiał serca Aleksandry.

Nienazwane wkradło się między nich i ramionami czasu odgradzało od siebie — tak, jak przed tym ich wspólnie łączyło...

Młody mężczyzna długo jeszcze rozmyślał nad niezgłębioną zagadką życia i uczuć kochających serc...

Płomień, oświetlający schludny pokoik i lśniące czystością sprzęty, począł ślizgać się po ścianach coraz niżej, liżąc sylwetkę mężczyzny, aż wreszcie zakreślił mały krąg światła, by za chwilę zgasnąć do reszty.

Po pewnym czasie ciałem siedzącego wstrząsnął zimny dreszcz, wyrywając go z zadumy.

Zmęczone powieki ciążyły, jak ołów, przypominając o zasłużonym śnie.

Głęboka cisza i gęsta ciemność zapanowała wokoło.

— — — — — — — —

Kiedy Witold Mirski otworzył oczy, była godzina ósma rano.

Przez okna zaglądało do jego pokoju złote słońce, głaszcząc go na dzień dobry swymi promieniami po rozczochranej czupurynie.

Mężczyzna dziwnie czuł się po przespanej nocy. Jakiś ciężar gniótł jego piersi, a tęsknota wielka szukała ujścia. — Złapał więc niemal mechanicznie za wieczne pióro, które leżało na nocnym stoliku i, wydarłszy z bloku białą kartę, zaczął pisać:

Alu!

Kiedy oczy Twoje spojrzą na czczy tytuł niniejszego listu, to jednocześnie może usteczka wykrzywią się w pięknym grymasie. Ale to nic. Ja przez to więcej nie stracę, jak straciłem, a Ty przynajmniej nie będziesz miała powodu do kpin. — Prawda?

Jest to mój pierwszy do Ciebie list i jednocześnie ostatni. Tak widać chciał los, gdyż takie mam zresztą przeznaczenie. Żyję po to tylko, by cierpieć.

Nieraz bywały chwile, że zdawało mi się, iż jestem szczęśliwy, bo jakże nie być szczęśliwym, mając przy boku Ciebie!

Ciebie spotkałem na drodze życia tylko dlatego, by zranić swoją duszę i tarzać się w nowych cierpieniach. Znasz bowiem moje życie, jak znam ja Twoje.

List ten piszę już chyba z godzinę i nie mogę go ukończyć! Literki jak ołów leją się na papier. Odrzucam pióro, gdyż nie chcę Cię skazywać na zbyt długie czytanie, lecz palce moje mechanicznie chwytają z powrotem obsadkę i... piszą...

(Dokończenie w następnym numerze.)

Leon zrazu nie chciał się zgodzić, bo się obawiał, żeby nie zgubiła, ale widząc, że ona uważałaby to za brak zaufania, który by ją bardzo dotknął, zgodził się wreszcie, choć z ciężkim sercem.

Kiedy mężczyźni wychodzili w pole, Franek wskakiwał na konia, by się udać do miasta.

— Franek! — zawołał za nią Leon.

— A co? — spytała, oglądając się.

— Żebyś nie zgubił tego listu! — upominał Leon.

— Ach, śmieszny jesteś z tą swoją obawą! — odpowiedział Franek — i zaciął konia, który popędził kłusem.

Było to pierwsze cierpkie słowo, które Frania wysłała pod adresem Leona.

Dusza jej pełna była goryczy.

Pocieszała się w głębi serca, że on zapomni o żonie, a tu pierwszą chwilę swej radości właśnie swej żonie poświęca.

Frania obejrzała się za siebie.

Była w szczerym polu, daleko już od osady.

Wyjęła list z kieszeni i wpatrywała się weń ognistymi oczyma.

— Hortensja Waldau — czytała.

Tak, Hortensja! Imię to wypisane było także na tej cudnej fotografii, którą jej pokazywał.

Nagle przestraszyła się bardzo.

Nie wiadomo, czy przedtem w kieszeni, czy teraz w palcach, pieczątka listu pękła jej na dwoje.

Bezradna i zrozpaczona, wpatrywała się Frania w ten list i złamaną pieczątkę i walczyła ze łzami.

Ale namiętna zazdrosna ciekawość paliła ją coraz bardziej i w jednej chwili szalona dziewczyna podarła kopertę i wyjęła list Leona.

Gorączkowo przeczytała go do końca raz i drugi, potem z histerycznym płaczem, w którym miłość wzgardzona walczyła o lepsze z namiętną zazdrością — podarła papier w drobne strzępy i zalała się rzewnymi łzami.

Wnet jednak przyszło opamiętanie i ogarnęła ją straszna trwoga.

Biedna, zaślepiona dziewczyna nie pamiętała o tym, jak wielką krzywdę zrobiła Leonowi i jego żonie, bała się tylko jego gniewu.

I ta obawa popchnęła ją do drugiego, nowego występku.

Zakopała w ziemi podarte strzępki listu i postanowiła nie przyznać się Leonowi do tego, że listu nie nadała.

Leon tymczasem z bijącym sercem liczył w duchu, kiedy Hortensja otrzyma list jego i kiedy on będzie miał odpowiedź.

ROZDZIAŁ CCLXXII.

Szczęście w miłości

Nic w świecie nie byłoby zatrzymało dłużej markiza de Lorme we Wiedniu, od chwili, kiedy się dowiedział, gdzie właściwie przebywa jego najdroższa i najukochańsza Ida.

Dowiedziawszy się, że pociąg do Petershagen odchodzi dopiero za trzy godziny, chciał zamówić sobie pociąg osobny, nie wykonał jednak tego postanowienia, gdyż nie chciał narobić w miasteczku za wiele hałasu.

— Cóż ja pocznę przez te trzy godziny? — martwił się markiz.



Puhar Davisa (nagroda dla mistrzowskiego amatorskiego zespołu tenisowego świata) służył ostatnio jako urna przy losowaniu o podział rozgrywek między Japonią a Ameryką.

— Jeżeli mi wolno coś panu poradzić, to dobrze by było kupić pierścionki u złotnika — rzekł stary sługa.

— Masz rację! — zawołał uradowany markiz. — Natychmiast to zrobię. Zapakuj tymczasem rzeczy, ale nie mów nikomu, dokąd jedziemy.

— Według rozkazu, odpowiedział Jan i przyniósł mu zarzutkę, rękawiczki, kapelusz i laskę.

Gdy markiz wyszedł, Jan wyciągnął kufer i zaczął pakować jego rzeczy.

Wtem weszła do pokoju kucharka Dora.

Panna Dora żyła dobrze z tym poważnym sługą i w głębi serca obiecywała sobie, że zostanie kiedyś jego żoną.

Na widok, który się przedstawił jej oczom, załamała ręce i zawołała:

— Jezus Maria! Wyjeżdżacie od nas?

— Na krótki czas tylko, panno Dorcio! — pocieszał ją Jan.

Panna Dorcia padła na krzesło, zakryła twarz fartuszkiem i zaczęła szlochać.

— A to się przestraszyłam! — płakała — mówić nie mogę.

— Widzę, że pani wcale dobrze jeszcze mówi — pocieszał Jan — niech się pani napije wina — to pani dobrze zrobi.

— Ach, jak mogę w godzinie pożegnania myśleć o jedzeniu lub piciu! — odparła z wyrzutem Dora.

Mimo to jednak wychyliła do dna podany kieliszek.

— Dobre wino, to jak lekarstwo — rzekła dla wytłumaczenia i spojrzała chciwym wzrokiem na flaszkę.

Jan zrozumiał ją i napełnił jej kieliszek na nowo.

— Co pan robi? — broniła się Dora, ale nie na serio.

— A dokąd jedziecie? — spytała.

— Hm, widzi pani — odpowiedział Jan — tego sam nie mogę powiedzieć, bo nie wiem.

Dora pogroziła mu i rzekła figlarnie:

— Już to pan dobrze musi wiedzieć. Ładnie, że pan umie dochować tajemnicy swego pana, ale mógłby pan zrobić wyjątek. Ja umiem tak milczeć jak grób.

— Ja także, zwłaszcza, jak sam nic nie wiem. Ale z podróży to pani z pewnością coś przywiozę.

— O, zawołała Dora, trzęsąc się z chciwości — tego bym nawet nie mogła przyjąć! Ale pan Jan, to tak jak baron. Może bym panu Janowi mogła się czemś przysłużyć?

Widzę już, że nie pozbędę się jej, nie pocałowawszy jej — pomyślał sobie Jan, gdy wtem pani Spiller na korytarzu ostrym głosem zaczęła wołać Dorę.

— Widzi pan, jaka ja biedna — skarżyła się Dora nie ruszając się z miejsca — chwili spokoju mi nie dają. Żonom, to o wiele lepiej. Żona to musi tylko słuchać swego dobrego, poczciwego męża.

Zielonymi oczyma rzuciła mu czułe spojrzenie.

— O, mój mąż bardzo by był ze mnie kontent — opowiadała mu. — Ja nie jestem plotkarką, w zgodzie żyję z wszystkimi, z nikim się nie kłócę, a nigdy nie przeklinam.

— Dora, Dora! — wołała pani Spiller.

— A ty poczwaro! — odpowiedziała Doro półgłosem — niech cię donder świśnie, ty przeklęta babo! A żeby cię połamało, żebyś nie doczekała wołać już.

No, pomyślał sobie Jan, ta doprawdy nie umie przeklinać! A to wściekła baba!

Wtem weszła pani Spiller.

Dora miała na tyle przytomności umysłu, że usłyszawszy jak ktoś bierze za klamkę, natychmiast prędko wypróżniła swój kieliszek i wstała.

— Ty tu? — zaczęła pani Spiller z wyrzutem — a ja wołam ciebie i wołam, aż mi w gardle wyschło.

— Pani mnie wołała? — spytała niewinnie Dora — nie słyszałam — byłabym zaraz poleciała do pani. Pan markiz wyjeżdża — zmieniła chytrze temat rozmowy.

Spillerowa bardzo była zmartwiona tą wieścią.

Markiz płacił wszystkie jej rachunki i ani słowa nigdy nie powiedział, że za drogo.

— Ale nie na długo? — spytała zaniepokojona — nie kazał zabrać wszystkich rzeczy?



Przez czternaście tygodni szalały gwałtowne burze koło latarni morskiej na wyspie Cornwall (Anglia), które sprawiły, że załogę latarni trzeba było luzować w bardzo trudnych warunkach, jak to widać na zdjęciu.

— Właśnie, że wszystkie — odpowiedział Jan zamykając jeden kufer napełniony i zabierając się do drugiego.

— Ale pan markiz nie wymówił mi mieszkania! — rzekła pani Spiller — gdyby się chciał wyprowadzić, musiałby mi zapłacić czynsz.

— Powiem panu — odparł Jan.

— Mój złoty Janie — przestraszyła się Spillerowa — tylko żebym nie miała nieprzyjemności. Przecie ja nie boję się o pieniądze u pana markiza. Przecież ani mi przez myśl nie przeszło, posądzać takiego pana, żeby mnie chciał oszukać.

— Ja bym sobie też wyprosił coś podobnego — odpowiedział surowo Jan. — Pan markiz jest najszlachetniejszym człowiekiem.

— Ja to sama zawsze mówię — potwierdziła pani Spillerowa. — Mój panie Janie — dodała zaraz w tonie pochlebiającym — nie mógłby pan spowodować pana markiza, żeby przed odjazdem zamówił mieszkanie jeszcze na rok? Przekonałby się pan że jestem wdzięczną osobą.

— Zamówić na rok? — zawołał Jan — to znaczy, że zapłaciłbym pani czynsz za cały rok z góry?

Nie, wstydziłbym się przychodzić do niego z taką propozycją. A teraz proszę mnie zostawić samego, bo muszę pakować.

Otworzył grzecznie drzwi i ukłonił się szyderczo.

Pani Spiller wyszła obrażona a za nią Dora, która śmiała się po cichu i wykrzywiała twarz w najrozmaitsze grymasy, aby okazać, jak się cieszy, że jej pani dostała należytą odprawę.

— No, poszły sobie nareszcie te stare pudła! — rzekł do siebie stary Jan i pakował dalej, i do powrotu markiza skończył.

— Idź po fiakra! — zawołał markiz.

— Może jeszcze za wcześnie? — spytał Jan skromnie.

— Nic nie szkodzi, byle już raz się stąd wydostać, niepokoił się markiz.

Spillerowa zastąpiła mu drogę na schodach.

— Pan markiz nie jedzie chyba z powrotem do Paryża? — spytała po niemiecku — na nieszczęście. Cyli nie ma w domu — martwiła się, i nie ma komu być tłumaczem, pomiędzy nią a markizem — tyle płaciłam za jej wykształcenie, a gdy raz ją potrzebuję, to jej właśnie nie ma w domu.

De Lorme zrozumiał z tego wszystkiego tylko słowo Paryż i wstrząsnął głową, na znak, że nie jedzie do Paryża.

Pani Spiller pytała więc dalej:

— A zostanie pan markiz w mojem mieszkaniu? Ja wszystko panu zrobię jak najlepiej! Kawa podrożała teraz o pięć centów, a ja nie podwyższyłam ceny za śniadanie! Ja nie umiem nawet ciągnąć korzyści!

Markiz wzruszył ramionami na znak, że nic nie rozumie, ale ona mając ciężkie sumienie, bo go oszukiwała zawsze, tłumaczyła sobie jego ruch niedowierzaniem i odpowiedziała płaczliwie:

— Nigdzie nie jest lepiej i taniej niż u mnie. Teraz złe czasy! Nie można taniej dawać! Przysięgam uroczyście!

Markiz teraz również nie zrozumiał i znowu wstrząsnął głową.

— Panie markizie! — rzuciła się Spillerowa — to niedowierzanie obraża mnie!

Markiz ukłonił się elegancko i zbiegł na dół do dorożki, którą mu Jan sprowadził.

— Licho wie, co teraz będzie — lamentowała pani Spiller — a tu jak na złość Jana także nie ma.

Podeszła do okna i widziała, jak markiz ze służącym odjeżdżał.

Całe szczęście — pomyślała — że mi zapłacił za ten miesiąc z góry. Ale drugiego takiego lokatora już nie znajdę, o nie!

. . . .

W Petershagen nie było dorożki tylko omnibus hotelowy.

Ponieważ godzina była wczesna — szósta rano, nie można było zrobić inaczej, tylko trzeba było zajechać do hotelu.

Markiz zajął w nim trzy pokoje i kazał sobie podać śniadanie. Kelner natychmiast przyniósł kawę i bułkę, ale szczęśliwy młodzieniec nie tknął jednego, ani drugiego, tylko umył się i przebrał, a potem raz poraz spoglądał na zegarek, nie mogąc doczekać godziny, w której zobaczy Idę.

Nareszcie od 6 do pół do 8-mej nie mógł już dłużej wytrzymać i uzbrojony w kartkę, na której miał napisany adres pani Herbert, wyszedł na miasto.

Zatrzymał dziecko idące do szkoły i pokazując adres, kazał się zaprowadzić do pani Herbert.

Dziecko uszczęśliwione złotą monetą, którą mu wsunął do ręki, zaprowadziło go do domu pani Kudlichowej i tam wbiegło do mieszkania pani Herbert.

— Proszę pani! — zawołało — jakiś wielki pan idzie do pani!

Ida, mimo wczesnej godziny, siedziała już przy maszynie i szyła.

Na wieść o tym, że ktoś idzie domyśliła się od razu, kto to może być i spłonęła gorącym rumieńcem.

W następnej chwili wydała cichy okrzyk. W ramach drzwi stanął człowiek, do którego należało całe jej życie.

— Panie markizie! — rzekła cicho, a on łagodnie objął jej kibić, przytulił jej smukłą postać do piersi i twarz jej, usta, oczy i czoło i pachnące włosy okrywać zaczął pocałunkami.

— Kochasz mnie! — szepnął jej — widziałem to po twych rumieńcach, po czułym twym spojrzeniu! Kochasz mnie! O! jaka błoga to świadomość! Najdroższa! najukochańsza! Będziesz u mnie jak królowa, na zamku mych ojców panią moich dóbr. Wszystko co moje, będzie twoim i ja będę twój na wieki, a ty będziesz moją panią!

— Czy to sen? — szepnęła Ida — co za szczęście! pojąć tego nie mogę!

Łzy szczęścia i radości ukazały się w cudnych jej oczach.

Markiz całował też jej łzy, spływające po jej policzkach.

— Nigdy już nie będziesz płakać — mówił serdecznie — te łzy twoje będą ostatnimi!

Teraz pani Herbert, która dotychczas skromnie stała na uboczu, wyszła naprzód.

Nie rozumiała po francusku, ale widziała przecie co się dzieje.

— Najdroższa córeczko! — rzekła wzruszona — winszuję ci i błogosławię. Niech ci Pan Bóg da szczęście.

Potem zwróciła się do markiza.

— Narzeczona pańska ma złote serce. Choć nie ma tytułu, ani majątku, ale skarbem najdrogocenniejszym jest jej czyste serce.

— To moja przybrana matka, Arnoldzie — rzekła Ida do markiza — ona mi była prawdziwą matką!

Markiz ucałował z szacunkiem dłoń staruszki.

— Pani! — rzekł — do śmierci będę wdzięczny za to, żeście strzegli mego skarbu, mego ukochania.

Ida zarumieniła się, gdy jej przyszło tłumaczyć z francuskiego na niemieckie te właśnie słowa markiza.

Długie lata słyszała tylko łajania i otrzymywała szturchańce. Teraz będą ją kochać i szanować jak królową!

Czuła się nad wyraz szczęśliwą.

Markiz wyciągnął z kieszeni obrączkę złotą i nasadził jej na palec.

— Teraz jesteś moją na wieki — szeptał, całując jej czoło — patrz co wybrałem dla ciebie?

Otworzył etui, z którego błysnął wspaniały garnitur z rubinów.

Na bielutką szyję narzeczonej markiz włożył naszyjnik, a pani Herbert ręce załamała ze zdziwienia i radości.

Byłaby Bóg wie jak długo stała w zachwycie nad szczęściem Idy — tylko przypomniała sobie, że trzeba przecież zrobić kawę dla gościa.

Poszła też do kuchni i przyrządzała śniadanie, gdy nadeszła znajoma z miasta młynarka i tonem wielkiej dobrodziejki oświadczyła, że ma robotę dla Idy. Żądała, żeby Ida na wozie, którym wozili mąkę, przyjechała do młyna, i przyrzekała, że tym samym wozem wieczorem ją odeśle.

Trudno powiedzieć, czy większe było jej zdziwienie, czy też większa może zazdrość gdy jej pani Herbert opowiedziała, jakie szczęście Idę spotkało i przez szparę niedomkniętych drzwi pokazała jej markiza w pokoju i kolię rubinową na szyi Idy.

Markizowi nigdy tak nie smakowało śniadanie, jak tu w skromnej izdebce leśniczyny. Nagle Ida zapytała, kiedy się wybiorą do Francji.

— Ach, ja nieszczęśliwy! — zawołał markiz — przez moje szczęście zapomniałem zupełnie, że ślub uczyniłem ojcu na łożu śmiertelnym! Daruj mi, ukochana, że wprzód spełnię ten święty obowiązek. Przysiągłem mu, że winę tę o ile się da naprawię i przybyłem tu, aby szukać Desire Saint Cir. Chociaż Teobald mi przysiągł że ta niewiasta umarła w domu jego rodziców i że ty jesteś jej córką, to jednak tak się plątał w swoich zeznaniach, że wnet poznałem się na kłamstwie. Dotychczas nie znalazłem śladu tej kobiety.

— W ręku pani Hai znajduje się paszport — rzekła zamyślona Ida — wystawiony na imię hrabiny Wildenstein, urodzonej Saint Cir. Kobieta ta udała się do zamku Wildenstein, ale po drodze zginęła bez śladu. — Pani Herbert — dodała po chwili — mieszkała w Wildenstein przed 18 laty, a właśnie wtedy kobieta ta zaginęła.

Zwróciła się do ciotki:

— Kochana cioteczko. Temu 18 lat przybyła do Wiednia młoda Francuzka. Była ona wdową i chciała odszukać krewnych męża, hrabiego Wildensteina. Nie dostała się jednak do zamku Wildensteina. Czy nie słyszała ciocia co o tej kobiecie?

Pani Herbert zbladła a ręce jej drżały.

— Kiedy wyjechała z Wiednia? — zapytała.

— W pierwszych dniach stycznia 1876 r.

— O Boże! — zawołała pani Herbert — czyż teraz tajemnica ta ma się wyjaśnić? Czyżby ta osoba miała być tą samą, którą mąż mój na pół zmarzłą znalazł w lesie, na śniegu?

Przypomniała sobie coś przez chwilę, potem powiedziała:

— Ośmnaście lat temu, mąż mój znalazł w lesie kobietę i przyniósł ją chorą do domu. Z trudem przywróciliśmy ją do przytomności. Urodziła dziecko, ale umarła nie dawszy żadnych wyjaśnień, co do swego pochodzenia.

— A gdzie to dziecko? — spytała Ida.

— To Sylwia — odrzekła Herbertowa.



Podczas ostatnich mrozów w Ameryce zamarzł słynny wodospadł Niagara, a olbrzymie kry lodowe wtargnęły nawet do położonej na brzegu elektrowni, uszkadzając poważnie olbrzymie generatory.

— Jakto?! — krzyknęła Ida — Sylwia nie jest waszą córką?

— Nie — ale kocham ją jak rodzone dziecko. Umierającej przysięgłam, że się nią zaopiekuję i dotrzymałam słowa!

— To byłoby jednak pożądane, gdyby nam twój narzeczony, mógł coś o tym powiedzieć.

Ida przetłumaczyła to wszystko markizowi.

— Tak jest — ucieszył się markiz — to ona! Bez wątpienia! — A gdzie jej córka? Ona jest spadkobierczynią hrabiego Wildensteina.

Wtem wszedł listonosz i przyniósł list z pieczęcią Hamburg.

— To od Sylwii — ucieszyła się pani Herbert i otworzyła kopertę, poczem część listu przeznaczoną dla Idy wręczyła jej.

Sylwia oznajmiła, że nazajutrz Mewą odjeżdża do Ameryki i adresu amerykańskiego naturalnie nie może jeszcze podać.

— Sylwia jest w drodze do Ameryki — mówiła Ida swemu narzeczonemu i opowiedziała mu dzieje Sylwii, chwaląc dzielność jej i odwagę i szlachetne serce.

Markiz bardzo żałował, że Sylwii nie znalazł.

Pani Herbert musiała opowiedzieć wszystko, co sobie przypomniała. Opowiedziała więc, że kobieta owa miała obrączkę z napisem:

Ślub odbył się w W. 1866 r.

— A gdzie ten pierścionek? — spytał markiz.

— Zginął w czasie pożaru razem z naszym całym majątkiem — opowiadała leśniczyna. — Odzież obcej i wszystko co miała chowałam w kasetce, która krótki czas przed pożarem, znikła w domu, zagadkowym sposobem.

— Mam podejrzenie — rzekła Ida — że to baron Sturmfeder kazał ją ukraść. Hrabina Widenstein musiała tam mieć swoje papiery, o które jemu przypuszczam bardzo chodziło.

Przetłumaczyła to teraz narzeczonemu, a ten potakiwał żywo.

— Ja sam mimo woli naprowadziłem go na ślad — rzekł — bo odwiedziłem go i wypytywałem się go o moją krewną.

— Kiedy to było? — spytała Ida.

— W jesieni — odpowiedział markiz.

— A kiedy kasetka znikła? — spytała Ida panią Herbert.

— W jesieni — odpowiedziała.

— Ależ to jasne — zawołała Ida — że to baron Sturmfeder kazał wykraść. I teraz nie widzę powodu oszczędzania moich opiekunów. Hai, aptekarz, pomagał baronowi w zwabieniu Sylwii do zakładu obłąkanych; baron przyszedł do nas, a potem Hai zamknął się w pokoju i pisał coś do późnej nocy. Nazajutrz znalazłam w jego pokoju podarte strzępki papieru, a na jednym było wypisane „Sylwia". To Hai pisał ten list, który pochodził rzekomo od Wernera.

— Nędznik! — zawołała pani Herbert — teraz go mamy w ręku! Niech tylko spróbuje sprzeciwić się twemu ślubowi z panem markizem! Pójdzie do kryminału!

— Dowiedziałem się od prowizora — rzekł teraz de Lorme — że Hai oszukał cię haniebnie, droga Ido. Ukradł poprostu los, który należał do twego ojca i wygrał główną wygraną na loterii saskiej. Za te pieniądze kupił sobie aptekę pod Złotym Aniołem, która właściwie jest twoją własnością!

Ida była zdumiona.

Zrazu trudno jej było uwierzyć, potem zawołała:

— A to oszust! Dlatego to oni mnie chcieli zmusić, żeby wyszła za Teobalda!

Markiz opowiedział jej teraz, jak Teobald nastawał na jego życie w górach, obok Marii Śnieżnej i jak sam wpadł w pułapkę, tak, że dotychczas leży chory.

Tak siedzieli wszyscy troje i cieszyli się sobą, a potem wybrali się razem do więzienia, do ojca Herberta.

Mieszkańcy Petershagen szeroko otworzyli oczy ze zdumienia, widząc panią Herbert i Idę w towarzystwie tak wielkiego pana jak markiz de Lorme.



Angielskie władze w Palestynie wprowadziły obostrzenia celem uśmierzenia rozruchów ludności tubylczej. Na zdjęciu grupa policjantów angielskich rewiduje pasażerów autobusu w poszukiwaniu za bronią.

ROZDZIAŁ CCLXXIII.

Wróżba z Guyaquelli

Eryk Rauch, jak sobie czytelnik przypomina, padł pod ciosami przeciwników w szynkowni, w której grał z nimi w karty i stracił przytomność.

Kiedy się obudził z omdlenia, zobaczył, że ktoś pochyla się nad nim i kładzie mu zimne kompresy na głowę.

— Gdzie jestem? — spytał.

— Na brzegu rzeki, panie — odrzekła samarytanka dźwięcznym głosem. Znalazłam was tu pokrwawionego i bez przytomności. Pojdźcie do mojej babki, która mieszka tu niedaleko, tam ona lepiej was opatrzy aniżeli ja.

Ale hrabia nie mógł się sam podnieść i dziewczyna musiała go prawie nieść. Kiedy weszli do ubogiej chatki, zapytał ktoś z jej wnętrza:

— Kogo prowadzisz, Manuelito?

— Na brzegu znalazłam biednego cudzoziemca, skrwawionego i bezprzytomnego. Oto jest.

— Niebiedny to cudzoziemiec — odrzekł ten sam głos — to wielki pan, którego kolebka w dalekim kraju.

Eryk zdziwiony spojrzał w głąb chaty i zobaczył staruszkę Indiankę, kłaniającą mu się głęboko.

Kiedy się podniosła i wyprostowała, zobaczył, że jest ciemna.

Manuelita położyła go na łożu i na rozkaz starej babki zdjęła mu opatrunek prowizoryczny, który sporządziła ze swego własnego fartuszka.

Kiedy tak się nachylała nad nim, przypatrywał się jej.

Nie była to Indianka czystej krwi, ojciec jej lub matka musieli pochodzić z rasy meksykańskiej, ale była bardzo ładna.

Eryk jednak postanowił zachować się wobec niej chłodno, bo miał świeżo w pamięci, niemiłe doświadczenia stosunków z pięknymi Meksykankami, z pobytu swego w Chilhuahua.

Stara Indianka wyjęła z czerwonej skrzyni, która stała przy niej, flaszkę, powąchała jej zawartość i podała wnuczce.

— Natrzyj mu rany — rzekła.

Kiedy Manuelita natarła go tym płynem, rany bardzo go zrazu bolały, potem jednak uczuł wyraźną ulgę i usnął.

Zbudziwszy się, ujrzał u stóp starej Indianki, siedzącą młodą dziewczynę meksykańską.

Stara wpatrywała się w ogień i mówiła sennym głosem:

— Obok okna twego przejeżdżać będzie na dużym koniu smukły kawaler. Ty rzucisz mu różę. Jeżeli ją podniesie i ucałuje, ciesz się. Ale gdy rumak różę rozdepce, płacz, dziewczyno, płacz!

— A czy będę bogata? — spytała Meksykanka.

— Widzę cię — mówiła wróżka — w kosztownych szatach, na lśniących poduszkach. Służba czeka na twoje skinienie. Będziesz bogata, Rosito!

— A czy nie zbrzydnę prędko? — pytała Rosita.

— Nie — odrzekła wróżka — pozostaniesz piękną, aż do śmierci.

— A czy będę szczęśliwa?

— Pytasz za wiele. Pytałaś, czy będziesz mieć kochanka, bogactwo i piękność. Na czwarte pytanie nie pozwalam.

Meksykanka próbowała jeszcze nalegać, ale gdy stara milczała zawzięcie, dała jej srebrną monetę i poszła uradowana.

Eryk wpatrywał się w dziwną Indiankę i nie wiedział, czy ona oszukuje tylko innych, czy i siebie. Ale mimo tego niedowierzania, czuł coś dla niej, jakby szacunek.

— Głupia — mówiła staruszka, jakby do siebie — będzie bogata i piękna. Piękna do śmierci, bo umrze młodo, bardzo młodo. Będzie miała męża, ale szczęścia mieć nie będzie.

— Biedna Rosita — pożałowała ją Manuelita. Dlaczego babciu! — spytała po chwili nieśmiało — nie chcesz mi nigdy powiedzieć, co mnie czeka w przyszłości?

— Bo cię kocham — odparła wróżka — niespodziewane szczęście będzie ci tysiąckrotnie droższe, a spodziewane nieszczęście zatrułoby ci całe życie. Zanieś sennorze Diaz plecionkę, którą u ciebie zamówiła — dodała zaraz. — Czy gotowa?

— Wnet będzie — odrzekła Manuelita, która plotła sztuczną plecionkę i w istocie za kilka minut skończyła i wyszła z nią.

Eryk doznał coś takiego, jakby strach zabobonny, gdy został sam z tą ślepą wróżką.

Ona, jakby przeczuła, co się w nim dzieje i co o niej myśli, rzekła nagle:

— Cudzoziemcze, śpisz?

— Nie, odrzekł Eryk.

— A więc leżysz i myślisz o tym, czy też ja w istocie mam dar patrzenia w przyszłość, czy tylko ludzi tumanię?

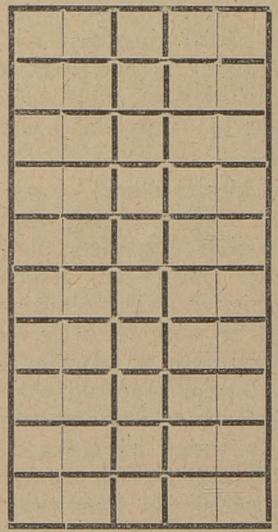
— Odgadłaś — rzekł Eryk, niemile dotknięty takim obnażeniem swych myśli.

— Więc powiem ci, co ciebie czeka — rzekła Cyganka.

Ciąg dalszy w nast. numerze.

CHWILA ZASTANOWIENIA

LOGOGRYF
pod. „Królowa Gizella".



Wyrazy pomocnicze: 1. Dom, 2. piękny, 3. nazwa tłuszczu roślinnego, 4. imię męskie, 5. pracownik drukarski, 6. dawny władca Rzymu, 7. przysłówek określający czas, 8. klasztor, 9. imię żeńskie, 10. mocny, 11. nóż, 12. sługa 13. pseudonim kryjący kogoś z „Rodzinki.

Środkowy rząd, czytany z góry na dół, da rozwiązanie.

BILETY WIZYTOWE

Mora Jaskwids Saga

Ada Gimo Bar

Sławek Ulcis Mxczybi

Jacy aktorzy filmowi kryją się pod tymi nazwiskami?

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrody w postaci książek.

Rozwiązania należy nadsyłać do piątku, dn. 4 marca br.

Rozwiązanie zadań z numeru 7 „Moich Powieści": 1. Logogryf: Karnawał. 2. Bilety wizytowe: 1) Nauczycielka, 2) Biuralistka, 3) Stolarz.

Trafne rozwiązania nadesłali pp.: Lipski Michał — Brodnica, Lenart Tadeusz — Rakowice, Janicki — Gniezno, Chylińska Maria — Inowrocław, Bultrowicz Wacław —, Gniezno, Gołąbek Paweł — Koszęcin, Szulc Wacław — Krotoszyn, Kiełbratowski Anastazy — Poznań, Kujawa Teodor — Janów.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Lipskiemu z Brodnicy i Chylińskiej z Inowrocławia.

ADAM NASIELSKI

11)

Argonauta w Chicago

POWIEŚĆ

— Well — nie zrozumiała. — Proszę mi przynieść z szatni płaszcz, bo nie chcę tak wyjść na chłodny korytarz. Zgrzałam się nieco podczas tańca — błysk wyrzutu w jej oczach wcale nie był przykry — i boję się przeziębienia, do którego jestem zawsze skłonna.

— Zaraz wrócę... — Namacał w kieszeni numerek od szatni, skłonił się i wyszedł na korytarz. Było tu rzeczywiście nieco chłodno. Jaz zatrzymał się na chwilę, aby się zastanowić: To prawda, — ona musi myśleć, że on jest dziwny; lecz cóż — trudno! W samochodzie opowie jej wszystko, wszystko absolutnie, a potem spadnie mu kamień z serca i niech się dzieje co chce.

Wolnym krokiem — był przygnębiony — szedł w kierunku szatni. Nie zauważył do ostatniej chwili, jak portiera jednej z lóż uchyliła się na okamgnienie i jak człowiek gwizdnął cicho. Wtedy Jaz odwrócił się i czarna, gruba płachta spadła na niego jak oberwana chmura. Nie mógł krzyknąć, bo czyjaś dłoń poprzez płachtę schwyciła go za gardło, a dwie inne ręce (może cztery, sześć) skrępowały mu ramiona w przegubach. Potem uczuł, że go unoszą, szarpnął się gwałtownie i... uderzenie w skroń pozbawiło go przytomności.

ROZDZIAŁ XXI.

U GANGSTERÓW

W sąsiednim pokoju tykał jakiś sąsiedni budzik marnego gatunku. Jaz widział przed sobą typowe biurko rolkowe, pokryte zniszczoną bibułą, kałamarz i suszkę. Na ścianie wisiał portret kobiety, blondynki o ordynarnej twarzy, a u stóp kapitana stał duży metalowy kosz na papiery. Pokój był mały, wąski, zaniebany i antypatyczny. Kapitan nie mógł poruszyć ani ręką ani nogą — był bowiem skrępowany sznurami tak szczelnie, że nawet oddychanie przychodziło mu z trudnością.

Nie wiedział, która godzina, ale musiało już być późno, gdyż przez jedyne okno o zakurzonych szybach przeświecała granatowa czerń nocy i od strony ulicy nie dobiegały żadne hałasy. Możliwe, że znajdował się za miastem, albowiem w Chicago nawet po północy ruch jest wielki i na ulicach nie panuje wcale taka cisza jak tutaj. Wnioskował, że jego omdlenie trwało w każdym razie dość długo — do Petit Gourmet przyszedł o czwartej.

Głowa nie bolała go wprawdzie po uderzeniu — pamiętał je, jak wszystko, najdokładniej — czuł jednak coś w rodzaju uporczywego brzęczenia w uszach i lekkie odrętwienie w stawach, najpewniej wskutek silnego skrępowania. Co oni chcieli z nim zrobić. I kim są ci „oni". Porwali go właśnie w chwili, gdy miał zamiar wyjaśnić Thelmie wszystko. Co ona sobie o nim pomyśli — gdy zauważy jego zniknięcie. Chyba nie zawiadomi policji — będzie raczej przypuszczała, że ekscentryczny kapitan (powiedzmy delikatnie: lekko zbzikowany) uciekł sobie najzwyczajniej wraz z numerkiem od szatni. Zobaczymy... westchnął i w tej samej chwili ujrzał otwierające się drzwi i poznał twarz wchodzącego. To jeden z tych drabów o ordynarnych gębach, który czekali w hallu w Petit Gourmet. Więc to na niego, na Jaza, czekali. Poznał nawet smoking wchodzącego.

— No, jak się czujemy.

Jazon nie odpowiedział z tej prostej przyczyny, że usta miał zalepione szeroką na pięć centymetrów taśmą plastra otaczającego wpoprzek całą głowę. Gangster podszedł i wcale niedelikatnie, jednym szarpnięciem ściągnął plaster. Jaz poczuł słony smak krwi w kąciku warg.

— Teraz możesz gadać!

Kapitan spojrzał w milczeniu na człowieka, trzymającego obie ręce w kieszeni i wycedził:

— Nie zamienię z wami ani jednego słowa, jeżeli mnie nie rozwiążecie.

— Dzieciak z ciebie. Zdaje się — kapitan Jazon Kent.

— Tak.

— Dziwaczne masz imię. Słyszeliśmy, że jesteś odważny i sprytny. Nie będę pana dręczył. Hej, Brin!

Na to wezwanie wszedł do pokoju niski osobnik z jednym okiem owiązanym czarną opaską i bez słowa przeciął więzy, krępujące Jaza. Jednocześnie pojawił się w ręku wysokiego długi bębenkowiec Vickers-Armstrong, wycelowany wcale niedwuznacznie. Brin wyszedł i zostawił ich samych.

— To ty zabiłeś Rantona, Kent?

— Skąd...

— My wszystko wiemy. Nie tłumacz się. Dobra robota, możesz być z niej dumny. Na oczach całej policji i w biały południe w centrum. Ciekawym, jak tyś uciekł.

— Ja nie uciekałem, bo ja...

— Kupuję. Po tobie można się spodziewać. Powiem ci w zaufaniu, że byliśmy nawet zadowoleni z ukatrupienia Rantona. Jesteś wcale morowy chłop. Skąd przyjechałeś? Z Frisco?

Jazon Kent nie spodziewał się przecież, że rozmowa potoczy się na ten temat i, że zamiast gróźb usłyszy wątpliwej wartości — ale jednak, komplementy. Gangster w smokingu wcale nie zraził się faktem nieotrzymania odpowiedzi na ostatnie pytanie. Podrzucił zręcznie ciężki rewolwer w górę i z nieprawdopodobną wprawą schwytał go za kolbę w powietrzu, tak, że od razu mógłby wystrzelić.

— Nie boisz się wcale — zdziwił się, widząc spokojne spojrzenie Jazona o czystym sumieniu.

— Czego?

— Śmierci. Mogę cię przecież zastrzelić, tak dla wprawy.

(Ładny trening!)

— Nie boję się was. Nie zastrzelisz mnie — przeszedł również na „ty".

— Istnieją rzeczy zabawniejsze niż śmierć. Naprzykład włożymy ci pod paznokcie parę drewienek i poczekamy, aż się wypalą. Byłeś na „Bengali"? My — zaśmiał się — nauczyliśmy się już kilka rzeczy od twórców filmów sensacyjnych. Od jednego reżysera przyjęliśmy nawet okup w naturze w pomysłach. Jak się czujesz, Kent?

— Sądzę, że mi nic nie zrobicie — rzekł kapitan spokojnie, aczkolwiek w duchu zadrżał.

— Myślisz może, że Monty cię wyciągnie. Nasi chłopcy pilnują go dobrze.

Monty, to chyba Montague Sedgwick. Dobrze wiedzieć. Jazon Kent był za bardzo optymistą, aby długo martwić się taką sytuacją. Złościło go tylko, że Thelma może o nim źle myśleć — ale na to nie ma rady, narazie. Dotknął palcem skaleczonej wargi i uśmiechnął się nieznacznie do gangstera.

— Daj mi papierosa.

— Mam cygaro — sięgnął tamten do kieszeni. — Lecz nie próbuj tu żadnych tricków z powieści sensacyjnych, bo to się na nic nie zda. Tam — wskazał drzwi — czeka sześciu naszych chłopów.

Jaz przyjął cygaro i ogień i zaciągnął się z przyjemnością. Po spojrzeniu gangstera poznał, że odwaga mu imponuje. Więc, jako człowiek mądry (sprytny! odważny! — noblesse oblige) postanowił w dalszym ciągu stosować ten „system".

— Dlaczego mnie porwaliście?

— Bos chce z tobą pomówić.

Bos, od holenderskiego „baas" oznacza przywódcę, naczelnika i używane jest wśród gangsterów chicagowskich zamiast nowojorskiego „chief" — szef. Kapitan wiedział o tym z lektury, lecz nigdy nie przypuszczał, że zetknie się z tym w życiu.

— Ja nie mam z waszym bosem nic do gadania.

— Ale on z tobą... Właśnie nadchodzi.

Drzwi otworzyły się cicho, prawie bezszelestnie i stanął w nich elegancko ubrany człowiek. Oczy i nos zakryte miał szczelnie czarną jedwabną maską, na której widok Jaz miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Nie spodziewał się, że maski bywają używane także poza sceną i filmem oraz balami karnawałowymi. Lecz okrutne, wąskie usta nowoprzybyłego miały w sobie coś groźnego i naprawdę bandyckiego. Przez otwory w czarnym jedwabiu wyglądały czarne, błyszczące oczy.

Zamaskowany — bos — pstryknął palcami i drab w smokingu wyniósł się natychmiast ze strachem w spojrzeniu. Człowiek w masce nie miał w ręku żadnej broni i Jaz...

— Jeżeli wykonasz ruch ręką — jesteś trupem, Kent — uprzedził tamten myśl kapitana i Jazon zadrżał po raz drugi, ale z zupełnie innej przyczyny. Poczuł, że nagle czoło jego zrosiło się potem i całą siłą woli opanował mięśnie swej twarzy. Bo ten człowiek włożył maskę, aby nie być poznany i... Jaz poznał go mimo to. Nie po głosie, celowo stłumionym...

— Później będziesz myślał. Nie mam czasu na długie gadania. Buddy Wills, znasz go, jest na naszym tropie i musimy stąd zniknąć. Dlatego powiem ci krótko, to co chcę. Ty służysz Monty'emu.

— Nie służę nikomu — rzekł Jaz wyraźnie, lecz cicho.

— Wziąłeś od Sedgwicka półtora „grubego"...

— Czego?...

— Nie udawaj. „Gruby" — to tysiąc dolarów. A więc puszczę cię na wolność i dam ci trzy — a ty będziesz mi donosił o każdym kroku Monty'ego i o tym co dla niego wykonasz.

— Odmawiam.

Człowiek w masce wydostał rewolwer z kieszeni na piersiach chyba jakimś cudem, lub czarami. Faktem było, że bez wahania przyłożył zimną lufę do skroni Jaza.

— Jeżeli powiesz nie — nacisnę na cyngiel i po wszystkiemu — rzekł chłodno i okrutnie. — A więc, trzy „grube" za te usługi. Twoja odpowiedź?

— Tak — wyjąkał Jaz, bo nic innego mu nie pozostało.

— All right. Twój murzyn otrzymał list uspokajający i Thelma, którą kochasz — również. Dwóch moich chłopców będzie ciągle przy tobie. Najmniejsze podejrzenie zdrady równa się śmierci. Oto jeden „gruby" zadatku. Dwa następne za tydzień. So long!

Skierował się ku drzwiom, a Jaz siedział jak zahipnotyzowany.

— Bos... — wydusił z siebie.

— Czego jeszcze?!

— Jeżeli Monty... jeżeli Sedgwick zapyta mnie, co się ze mną działo...

— Powiesz mu, że moi ludzie schwytali cię i tyś im uciekłeś. To będzie pół prawdy. Powiesz, bos — a on już będzie wiedział.

Po wyjściu zamaskowanego, zjawił się mały Brin i podał Jazonowi kapelusz i płaszcz.

— Jedziemy, captain.

— My...

— Ja i Dion, ten który panu dał cygaro. Jesteśmy przydzieleni jako — hehe! — eskorta. Ładne słówko. Swój rewolwer dostaniesz po przybyciu do domu. Kent, wiesz co bos powiedział o tobie — że jesteś genialnie sprytny. Mnie jeszcze nigdy tak nie pochwalił. — Chcesz zrobić konkurencję?

— Komu? — zdumiał się Jazon.

— Bosowi i Monty'emu. Lecz radzę ci serdecznie — poszukaj innego terenu. Dla trzech nie ma miejsca w Chic.

Jaz nie odpowiedział nic i w milczeniu przeszedł przez próg. W drugim pokoju siedziało pięciu mężczyzn, oprócz Diana. Palili i dowcipkowali — na widok kapitana Kenta zamilkli... jakby z uszanowaniem. A Jazon Kent nawet nie zwrócił na to uwagi. Jedyną myślą zaprzątającą jego świadomość — było pytanie: czy zamaskowany bos domyślił się, że Jazon Kent poznał go pomimo maski.

Długi, otwarty „Buick" czekał przed domem. Przypuszczenie Jaza okazało się słuszne. Znajdowali się poza miastem, którego światła widniały w odległej oddali. Dion zajął miejsce przy volancie, a Brin usiadł obok kapitana.

— O czym myślisz, Kent.

— O śmierci — brzmiała poważna odpowiedź i mały Brin przestraszył się.

Samochód mknął gładko po równej jak lustro szosie z umiarkowaną szybkością. Dionowi nie śpieszyło się widać, bo nawet pogwizdywał sobie swobodnie i dwukrotnie obejrzał się. Jednooki Brin siedział z ręką na rewolwerze. Nie zapominał nigdy o instrukcjach bosa, pomimo, że ten nie nazwał go genialnym, jak Jazona Kenta. Ale kapitan nie zwracał uwagi na swoich eskortantów.

Wokoło panowała noc i cisza. Na niebie błąkały się nieliczne na razie chmurki, awangardy i forpoczty nadchodzącej burzy. Na razie jednak było jeszcze jasno. Zjechali ze wzgórza, na jakim stał dom, w którym więziono Jaza i po drugim zakręcie światła miasta Chicago znikły z widnokręgu, a raczej z ciemnokręgu, a przed nimi rozpostarła się taśma szosy, prosta — jak strzelił.

— Dokąd jedziemy, Brin.

— Do Chic, kapitanie. Będziemy tam za jakieś pół godziny.

— A jak się nazywa to wzgórze — zapytał kapitan z głupia frant.

— Ciekawość jest niebezpieczna, Kent. Lepiej jak najmniej pytać.

Jazon zagryzł wargę i zagłębił się w sobie. Pytać jak najmniej — do ciężkiej cholery! — stracił w końcu panowanie nad umiarem — kiedy się nic nie wie. I co będzie teraz? Wracają do Chicago, a on zostanie dosłownie wzięty we dwa ognie. Jak ten mały cyklop powiedział? — „Dla trzech nie ma miejsca w Chic." Całujcie psa w nos! Z jednej strony Sedgwick ze swoją szajką i jako młot do tego kowadła — bos ze swymi chłopami. Czemu oni się na mnie uwzięli?! To się wyjaśni — musi się „wyklarować" — ale...

Kapitan pojął nagle, jak w natchnieniu, że bezczynność może się dla niego źle skończyć. Zrozumiał, że w zbyt skomplikowaną machinę wszedł jako tryb, aby móc stanąć, zatrzymać się. Musiał już — jako trybik — obracać się wraz z innymi, a jeżeli miał się wydostać, to tylko przez zniszczenie całego mechanizmu. Słowem — działać! Koniecznie! Na bezprawie odpowiedzieć sprytem i przebiegłością, i porzucić precz naiwność oczekiwania na cud z jasnego nieba.

A chmury zbierały się coraz gęściej...

Dłużej czekać nie wolno! Zerknął nieznacznie na Brina. Mały był jednooki i niepozorny, — a nuż go tak capnąć za szyję, przydusić grzecznie, obezwładnić. Potem unieszkodliwić Diona, usiąść przy kierownicy i jazda do Chicago. Prosto do Komendy Policji i tam opowiedzieć im, że bos, stojący na czele szajki gangsterów w Chicago to nikt inny, tylko inspektor Buddy Wills. Lecz... czy oni mu uwierzą? Przecież ten człowiek był w masce, a dwa pryszczyki w lewym kącie ust i na podbródku — cóż to za znaki szczególne. I może Jazowi się zdawało, że zamaskowany bos, to Buddy Wills. Powtóre, jeżeli tak jest naprawdę, to...

Wykonał próbny ruch ręką i ujrzał błysk rewolweru Brina.

— Bez ekstrawagancyj, Kent. Mógłbym cię nieznacznie zabić.

— Ja nie myślałem o niczym takim.

— Kłamiesz, bracie — stwierdził mały gangster bez złości i Jazon zrozumiał, że na razie nie da rady.

Zaczynała go ogarniać głucha, wściekła złość i czuł, że jeżeli to dłużej potrwa — zdobędzie się na czyn nieobliczalny. Opanował wrzenie nerwów, oparł łokieć na poręczy ceratowego siedzenia i w milczeniu patrzył przed siebie. Psiakrew! Właśnie w tej chwili usłyszał pod sobą głośny huk i serce zabiło mu ze strachu.

— Ktoś strzelił? — Dion zahamował bezpośrednio po pytaniu Brina.

— Zdaje się, że kicha nawaliła. Do diabła z tymi Dunlopami. Sam sprawdzałem garnitur... — Po tych słowach wysiadł i stwierdził, że istotnie prawa tylna opona „usiadła". Wyjął z kieszeni latarkę i poświecił. Ujrzał wyraźnie małą okrągłą dziurkę w kauczuku i zrozumiał, że opona sama nie pękła.

— Chodźno tu, Bin. Opona jest przestrzelona!

— Wysiadaj — rozkazał przezornie Jednooki i Jaz usłuchał bez wahania. Przestrzelona opona? Tak powiedział wyraźnie Dion, ten wysoki.

— Uważaj tymczasem na kapitana Kenta, Dion — nachylił się mały gangster. W tej samej sekundzie błysnął oślepiający stożek światła i rozległ się groźny rozkaz.

— Hands up!

Gangsterzy z Chicago znają ten okrzyk. Kto pierwszy powie „hands up" ten jest panem sytuacji — takie jest żelazne prawo „underworld'u". Dion i Brin usłuchali bez wahania i podnieśli ręce, nie odwracając się. W mroku czarna twarz Cliffa była prawie niewidoczna i tylko błyszczące oczy, rząd białego uzębienia i długi rewolwer dowiodły, że to nie jest zjawa, tylko żywy, kochany, stary Cliff.

Lecz najbardziej zdębiał Jazon, który od dzieciństwa czuł dziwną awersję do wiary w cuda. Skąd się tu znalazł Cliff? A może to ktoś inny. I byłby skłonny uwierzyć w ostatnie przypuszczenie, gdyby naraz nie rozległy się lekkie kroki i gdyby nie ukazała się twarz Thelmy Murray. W ręku trzymała zgrabny pistolet automatyczny Savage'a, wycelowany prosto w głowę małego Brina.

— Panie Kapitanie, melduję posłusznie, że wypad udał się wyśmienicie. Dwóch jeńców i czołg nieprzyjacielski w naszym ręku. Teraz zdaję dowództwo w pańskie kompetentne i dosłowne dłonie — rzekła wesoło i wręczyła Jazowi swój rewolwer, a kapitan z wielkiej uciechy omal nie zagarnął jej w ramiona, aby wycałować kochaną dziewczynę — lecz ostrzegł go przed tym jej spokojny, opanowany głos:

— Czułostki potem, Jaz. Mógłbyś mi jeszcze zasłonić linię strzału... Czy dobrze powiedziałem?

ROZDZIAŁ XXII.

PIĘŚĆ CLIFFA

— I co teraz?... — zapytała?

Odzyskał nagle pełnię energii i panowanie nad sobą. Patrzał na leżących w rowie obu skrępowanych gangsterów, których gorliwy Cliff „opatrzył" tak, jakby zamierzał ich za chwilę wsadzić na rożen i upiec według wszelkich prawideł sztuki kucharskiej plemienia Dianga.

— Najpierw niezbędne wyjaśnienia, miss Murray. Nie mam predyspozycji do wiary w cuda. Jakim sposobem wyście się tu zjawili.

— Bardzo prosto... — zaczęła Thelma.

— Widzę, że zdążyła już pani przyswoić sobie niektóre wyrażenia ze słownika Cliffa.

— Nie ruszać pana Halleta! To kochany chłop. W pięć minut zdecydował się na wszystko — i dobrze się zdecydował.

— Zaraz, zaraz... Nie znoszę również krzyżówek ani szarad. Jak...

— Ciągle mi pan przerywa, kapitanie jeden! Gdy pan nie wrócił po pięciu minutach — zaniepokoiłam się i udałam się do szatni. Powiedziano mi, że nikt nie zwracał się tu po mój płaszcz. Po namyśle wsiadłam w mój wóz i jazda do Stevensa. Tam czekał Cliff i gdy dowiedział się o zniknięciu, powiedział mi o tej całej historii. Wsiedliśmy w maszynę i prosto na szosę. Zauważyliśmy nadjeżdżające auto. Cliff, który ma diabelskie oczy — strzelił w oponę i gotowe.

— Bardzo pięknie. Lecz skąd wiedzieliście, że ja będę jechał tą szosą i o tej porze.

— To takie jasne!

— Ja-sne. No, no...

— Zrozumie pan, wielki Inkwizytorze — jeżeli powiem jedno słowo. Cyfrę. Jest to szosa numer dwadzieścia trzy. Twentieth Third Road.

— Dwadzieścia trzy — powtórzył Jaz, jak echo. — Teraz już rozumiem. Czyj to pomysł.

— Zacnego Cliffa. Musi pan wierzyć. Wyjęłam mapę Chicago — bo po tym, co słyszałam i znając metody plagi naszego miasta, zaczęłam wierzyć, że pana uprowadzili za miasto. Powiedzieliśmy plan i zaczęli szukać wszystkich szos i wtedy Cliffowi wpadła w oko nazwa Twentieth Third Road i...

— Rozumiem już i jednocześnie słyszę, że nareszcie uwierzyła pani w moją przygodę.

— Tak, i przepraszam za to, co mówiłam przedtem...

— Proszę bardzo... — rzekł Jaz cicho, albowiem przyszło mu na myśl, że teraz będzie musiał ją utracić. Cóż za szanse może mieć biedny obieżyświat u córki milionera. Lepiej nie łudzić się na próżno. — Żadnych.

Thelma Murray również zamilkła. Domyślała się nad czym zadumał się tak nagle Jazon Kent. Dziękowała Bogu, że jest ciemno — bo rumieńce na jej twarzy były niewidoczne. Nie dla Cliffa — ale o tym miss Murray nie pomyślała.

— Gotowe! — rozległ się za nimi głos murzyna. — Zapakowałem ich tak, że można będzie nadać obu pocztą prosto do Sing-Sing jako „próbkę bez wartości". Teraz do miasta, captain.

Jaz nie odpowiedział. Stop! — rozkazał swemu mózgowi. Romantyczne zakończenie romantycznej przygody i gotowe! — jak powiedział Cliff. „Teraz do miasta". Do hotelu, wziąć walizy i jazda w świat. Póki Sedgwick i „bos" nie zorientują się, że ich obu — mimowoli zresztą, ale nabił w butelkę. Pieniądze oczywiście odeślę do banku i do inspektora Willsa. Ten ci dopiero zrobi minę, gdy przeczyta: Dear Bos, zwracam Panu ten „gruby" i... pozostaję — bez poważania...

— Odwiezie nas pani do miasta, miss Murray?

— Nie rozumiem pytania — wyjąkała.

— Może i tak lepiej. Nic już po mnie w Chicago. Nie mogę zostać. Z jednej strony Montague Sedgwick, z przeciwnej W...

Ugryzł się w język i nie dokończył. Nie wolno mu rzucać podejrzenia na człowieka, póki się nie upewni. Widział bosa w masce i nie mogło być wykluczone, że dwa pryszczyki w lewym kącie ust i na podbródku mógł mieć ktoś inny, choć Jaz w to wątpi — miał niezłe oko. Thelma źle zrozumiała milczenie Kenta:

— Kapitanie — wyszeptała. — Czy pan nie jest przypadkiem wyższym urzędnikiem z Departamentu Kryminalnego w Washingtonie.

Jaz roześmiał się szczerze:

— Widzę ,że teraz pani skolei chce ze mnie zrobić asa. Uwzięli się na mnie w tym Chicago. Nie, miss Murray. Jestem najzwyklejszym bezrobotnym kapitanem marynarki handlowej, jak żyję, z policją nie miałem nic wspólnego i jednym moim przestępstwem jest chyba to... że się w pani zakochałem. Ale to pani winna...

Dyskretny Cliff odsunął się szybko, podszedł do stojącego o kilka metrów dalej Packarda Thelmy i począł coś zawzięcie majstrować w karburatorze Bogu ducha winnej wspaniałej maszyny. Jaz z Thelmą zostali sami na środku szosy — i zapomnieli oboje, że nie stoją w salonie. Zaczynał kropić deszcz, lecz Jaz tego nawet nie zauważył. Jakby we śnie zbliżył się kapitan do stojącej w bezruchu miss Murray, objął ją, bez oporu z jej strony i przycisnął do swoich ramion.

— To prawda, Thelmo. Kocham cię. Lecz ty nie jesteś dla mnie przeznaczona.

— Dlaczego?

— Co!! Co pani zapytała! ...!

— Pytałam: dlaczego? Bo...

Nie było snać również przeznaczone, aby dokończyła to zdanie, gdyż zapieczętował jej usta długim pocałunkiem. Tymczasem zażenowany Cliff pastwił się, gdzie popadnie nad zdumionym motorem Packarda i już zamierzał rozebrać jeden z cylindrów — ...gdy naraz usłyszał za sobą cichy szczęk, jakby metalu uderzającego o stal. (C. d. n.)



Niedziela, dnia 27 lutego 1937 r.

8.00 Audycja poranna 9.00 Transmisja nabożeństwa z kościoła św. Krzyża w W-wie 12.03 Poranek symfoniczny z Katowic 13.10 „Uleczony samobójca" — humoreska 13.25 Muzyka obiadowa ze Lwowa 14.40 Przedstawiamy speakerów — audycja Wielkiego Zimowego Konkursu Radiowego 14.45 Audycja dla wsi 15.45 „Wszystkiego po trochu" — audycja dla dzieci 16.05 Recital fortepianowy Henryka Sztompki 16.25 Utwory włoskie w wyk. Walerii Jędrzejowskiej 17.00 „Bawmy się wesoło" — podwieczorek taneczny dla dzieci 19.00 Teatr Wyobraźni: „Patent" — premiera komedii L. Pirandel 19.25 Znane orkiestry świata grają do tańca... (płyty) 21.00 Transm. skoków narciarskich (mistrz świata w Lahti) 21.30 Muzyka taneczna.

Poniedziałek, dnia 28 lutego 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11,15 Audycja dla szkół 11.40 „Od warsztatu do warsztatu: Przed objektywem fotografia" 12.03 Audycja południowa 15.45 „Z pieśnią po kraju" 16.15 Orkiestra mandolinistów im. Moniuszki z Rozdziana 17.15 Muzyka kameralna 18.10 Lekkie duety wokalne (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja strzelecka 19.30 „Dyskutujmy": „Kompromis w życiu" (dialog z sumieniem) 20.00 Historia tańca (III audycja): „Ewolucja walca" 21.00 Muzyka taneczna w wyk. Małej Orkiestry P.R. — Zapowiadają speakerzy, biorący udział w Wielkim Zimowym Konkursie Radiowym 22.00 Koncert wieczorny w wyk. Orkiestry Symfonicznej P. R.

Wtorek, dnia 1 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Eric Coates: Cztery drogi — suita — koncert z płyt 12.03 Audycja południowa 15.45 Zagadki muzyczne — audycja dla dzieci 16.15 Audycja muzyczno-słowna z Poznania 17.00 „Podziemne Tatry" — pogadanka 17.15 Orkiestra reprezentacyjna Policji Państwowej 17.50 Ginące rasy naszych zwierząt domowych — pogadanka 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Z teki Chochlika" — wieczór fraszek 19.30 Polska twórczość chóralna (IX audycja) 20.05 31-sza audycja z cyklu „Sylwetki kompozytorów polskich" 21.00 Wieczornica taneczna

Środa, dnia 2 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 12.03 Audycja południowa 15.45 Chwilka pytań — audycja dla dzieci starszych 16.15 Muzyka rozrywkowa w wyk. orkiestry Tadeusza Seredyńskiego 17.00 KOP śladami zagończyków (część II) — odczyt 17.15 Koncert solistów z Łodzi 17.50 Nasze serce i płuca — pogadanka 18.10 Pieśni chóralne (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Grzech" — scena z powieści Sygrydy Undset 19.20 Kilka polskich pieśni w wyk. Ady Witowskiej-Kamińskiej 20.00 Utwory wokalne w transkrypcji na instrumenty solowe 21.00 Koncert chopinowski w wyk. Zofii Rabcewiczowej 21.45 Dialog prof. Manfreda Kridla i Teodora Bujnickiego 22.00 Wieczorne nastroje wykona orkiestra Adama Hermana.

Czwartek, dnia 3 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 „Wileńszczyzna w tańcu i pieśni" — poranek muzyczny 11.40 Fragmenty z symfonii (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Wędrówki muzyczne" — audycja dla młodzieży 16.15 Utwory charakterystyczne i intermezza — w wyk. orkiestry wojskowej 17.00 Wylęgarnie ryb na Pomorzu — reportaż 17.15 „Claude Debussy" — koncert 18.25 Audycja dla młodzieży wiejskiej 19.00 Klasyczny Teatr Wyobraźni: „Powrót Odyseusza" 19.35 „Miniatury kameralne" — wykona trio solowe 20.05 „Raz to mało" — wspomnienia muzyczne z lutego 21.45 „Epopea powstania styczniowego" — szkic literacki 22.00 Koncert kameralny.

Piątek, dnia 4 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Duety z oper włoskich (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 „Pięć wróbli w jednym pudle" — opowiadanie dla dzieci 16.15 Koncert rozrywkowy z Łodzi 17.00 Urszulanki na Polesiu — pogadanka 17.15 „Szlakiem rozśpiewanej włóczęgi" (piosenki amerykańskiego trampa) — audycja muzyczno-słowna 18.10 A. Mossager: Dwa gołąbki (Les deux pigeons) (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 „Theatrum Sancti Casimiri" — audycja z Wilna 19.30 Piosenki w wyk. „Piątki Poznańskiej" 20.00 Koncert symfoniczny z Filharmonii Warszawskiej.

Sobota, dnia 5 marca 1938 r.

6.15 Audycja poranna 11.15 Audycja dla szkół 11.40 Gra Carlo Zecchi — fortepian (płyty) 12.03 Audycja południowa 15.45 Teatr Wyobraźni dla dzieci: „Baśń o siedmiu krukach" 16.15 Eugene Samuel Holeman: „Dziewczyna w oknie" — koncer 17.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bramy w Wilnie 18.15 Piosenki w wyk. Mieczysława Fogga (płyty) 18.35 Audycja dla wsi 19.00 Audycja dla Polaków zagranicą 20.00 Koncert rozrywkowy 21.45 „W kółko Macieju" — skecz Wilhelma Raorta 22.00 Koncert popularny orkiestry wileńskiej.



ODPRAWA

— Czy mogę na różanych usteczkach pani wycisnąć pocałunek?

— Nie, ale moja śnieżno - biała rączka może panu wymierzyć policzek.

W RESTAURACJI

— Panie starszy, ten rak ma tylko jeden kleszcz!

— Drugi stracił w walce.

— Tak? Niech mi pan poda w takim razie zwycięzcę!

W TEATRZE

Sztuka jest piekielnie nudna. Gość wychodzi. W drzwiach zatrzymuje go kontroler.

— Pan będzie łaskaw wziąć przepustkę, bo inaczej nie będę mógł wpuścić go z powrotem.

— Nie zamierzam wracać.

— To proszę przepustkę dać komukolwiek.

— Nie mam osobistych wrogów.

SPRYTNY

Syn słynnego tenora do kolegi:

— Ty, jak ojciec będzie przechodził, tędy, poproś go o autograf i podsuń mu to usprawiedliwienie dla szkoły, że nie mogłem być dziś obecny na lekcji.

ROZMOWA

— Co pan robi panie Leonie?

— Nic.

— Dobre zajęcie?

— Dobre, tylko duża konkurencja.

RÓŻNICA

— Jaka jest różnica między psem i człowiekiem.

— Pies obszczekuje nieznajomych, a człowiek znajomych.

ZABAWA

— W coście się bawili?

— W szkołę.

— A czy byłeś grzeczny?

— Nie potrzebowałem być grzeczny.

— Dlaczego?

— Bo byłem panem nauczycielem.

NIEBAWEM PO ŚLUBIE

— Tadziu, czy mam ci zrobić na pierwsze śniadanie kawę, czy herbatę?

— Jadzieńko, jeżeli to, co mi wczoraj podałaś, było kawą, to mi zrób kochanie, herbatę, a jeżeli to było herbatą, to mi zrób kawę.

OSTATNIE ŻYCZENIE

W niektórych krajach tracą złoczyńców za pomocą gazu trującego. W jednym z tych państw wprowadzono właśnie do celi straceńca skazańca.

— Czy ma pan jeszcze jakie życzenie? pyta prokurator.

— Tak, proszę mi dać maskę przeciwgazową.

W PARLAMENCIE

Pewien deputowany jest z zawodu weterynarzem. W zapale dyskusji jego przeciwnik chce mu sprawić przykrość i pyta:

— Pan jest podobno weterynarzem?

— Tak — odpowiada zapytany — a czy pan jesteś chory?

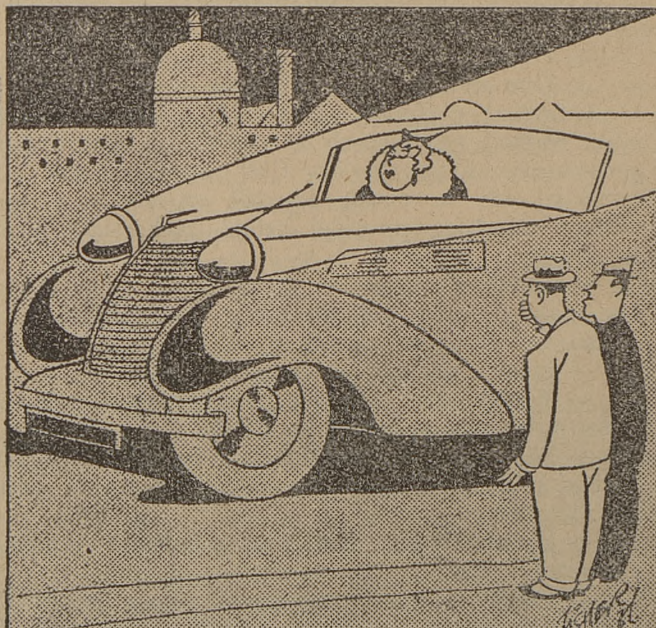
LITERAT

— Czym się pan zajmuje?

— Jestem literatem.

— Pisuje pan książki, artykuły, — poezje???

— E, nie. Ja, panie wbijam litery do kaloszy i na drzwiczki samochodów.



Słynna aktorka, przyzwyczajona do świateł rampy teatralnej, uważa, że w ten sposób winny być ustawione reflektory przy jej samochodzie.

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 1 złoty, kwartalnie 3,00 złote. Pod opaską i za granicą miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50, Nr. pojedyńczy 30 gr. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczenie pisma, a preunumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA I ADMINISTRACJA
Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8
P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32
Rękopisów niezamów. nie zwraca się.
Wystarczy adresować
„MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— złotyc 1/2 strony 225,— złotych i t. d. Wiersz milim trowy szerokości 32 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 procent zniżki. Za zastrzeżeni miejsca dolicza się 50 procent. Ogłoszenia przyjmuje się najpóźniej 12-cie dni przed datą numeru.

UWAGI OGÓLNE: Administracja nie przyjmuje odpowiedzialności za termin ogłoszenia oraz za zgubę lub zniszczenie matryc i klisz. Zastrzeżenie miejsca obowiązuje Administrację tylko wówczas, gdy za takie zastrzeżenie zostanie zapłacona przewidziana w cenniku 50 proc. nadwyżka. — Omyłki, które zasadniczo nie zmieniają treści ogłoszenia, nie upoważniają do żądania zwrotu gotówki, ani też nie zobowiązują Administracji do bezpłatnego powtórzenia ogłoszenia. — Uzasadnione reklamacje będą uwzględnione o ile zostaną wniesione do dni 8-miu od daty ukazania się ogłoszenia, lub od daty otrzymania rachunku. Podwyżka cen ogłoszeń może nastąpić w każdym czasie i obowiązywać będzie również te ogłoszenia, które zostały zamówione poprzednio, a nie były z góry zapłacone. — Wydawnictwo zastrzega sobie prawo nie umieszczania całego ogłoszenia, wzgl. jego części bez podania powodów. Komunikatów bezpłatnych nie umieszcza się. — Zniżek nie udziela się. — ROZMIAR STRONY DRUKU: Wysokość 300 mm, szerokość 212 mm. — Podstawą obliczenia jest 1 milimetr, w jednym łamie. — Strona w tekście ma 3 łamy podwójne à 68 mm. Strona za tekstem ma 6 łamów à 34 mm.

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Redaktor odpowiedz.: Mirania Galińska — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie

Pocztowe konto rozrachunkowe: Żnin nr. 1.